RÓK III. LISTOPAD TOM XI (XXIX).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Góra.

Skład w Warszawie: Ulica Mokotowska Nr. 47.

1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 ноября 1903 года.



Niepokalanie Poczęta Najświętsza Marya Panna.

Niepokalane Poczęcie

Przenajświętszej Bogarodzicy Dziewicy Maryi.

W poprzednim tomie, październikowym, „Dzwonka Częstochowskiego“ podaliśmy wiadomość o przypadającej w roku przyszłym pięćdziesiątej rocznicy ogłoszenia przez Papieża Piusa IX dogmatu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Nadmieniliśmy też, że zmarły Papież, Leon XIII, postanowił, aby jubileusz ten świat katolicki obchodził uroczyście przez rok cały, poczynając od dnia 8 grudnia roku bieżącego; że wyznaczył komitet (radę) kardynałów, który ma się zająć opracowaniem planu uroczystości jubileuszowych; że wreszcie następca Leona XIII, Jego Świętobliwość Pius X, postanowienie rzeczone w całej rozciągłości zatwierdził. Ponieważ jubileusz ma niezmiernie ważne dla wiernych wyznawców Kościoła rzymsko-katolickiego znaczenie, przeto będziemy czytelników naszych zawiadamiali o wszelkich łączność z nim mających szczegółach. Na początek umieszczamy niżej pismo Ojca Ś-go Piusa X, w sprawie jubileuszu, zwrócone do wyznaczonego przez Leona XIII komitetu kardynałów, oraz wytłómaczenie, według znakomitych pisarzów kościelnych, jak należy rozumieć dogmat Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy. Osnowa pisma Jego Świętobliwości następująca:

„Do Ukochanych Synów Naszych, Kardynałów: Wincentego Vanutelliego, Maryana Rampolli del Tindaro, Dominika Ferraty, Józefa Kalasantego Vives y Tuto!

Jeżeli jest obowiązkiem naszym w wysokiej czci zachować przekazane nam nauki i przykłady naszego wspaniałego Poprzednika, świętej pamięci Leona XIII, to w tej większej mierze mamy obowiązek przechowywać wszystkie Jego usiłowania, dotyczące rozszerzenia wiary i świętości obrzędów. Godny czci najwyższej zmarły Papież postanowił, aby pięćdziesiąta rocznica ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Maryi Panny, zgodnie z życzeniami wiernych całego świata, obcho-

dzoną była z nadzwyczajnemi uroczystościami i w tym celu zamianował komisyę kardynałów. Obowiązkiem tej komisyi jest obmyśleć i wydać odpowiednie co do uroczystości jubileuszowych zarządzenia, kierować temi uroczystościami, gwoli należytego uczczenia pamięci błogosławionej chwili ogłoszenia będącego w mowie dogmatu.

Ożywieni również uczuciami najgłębszej czci dla Najświętszej Maryi Panny; przekonani, że wśród bolesnych dla Kościoła wypadków, na które patrzymy, nie pozostaje dla nas wiernych inna pociecha, jak niebios, a tam zaś potężne orędownictwo Tej Przemożnej, która zawsze z pomocą wiernym śpieszy: zatwierdzamy Was, Najmilsi Nam Kardynałowie, w godności członków komisyi jubileuszowej. Mamy nadzieję, że zapał Wasz świetnym rezultatem uwieńczony zostanie, szczególnie z pomocą Tej Najmiłościwszej, która ułatwi wam spełnienie zadania.

Oby Pan, za wstawieniem się Niepokalanej Dziewicy, powołanej wolą Ś-ej Trójcy do poznania wszelkich tajemnic litości i miłości, do rozdawnictwa wszelkich łask, — wysłuchał modłów, jakie wierni wznosić będą w uroczystej chwili. W tej słodkiej nadziei, udzielamy Wam z całego serca nasze błogosławieństwo apostolskie.

Watykan, 8 września, 1903 roku. *Pius X Papież.*"

Pismo przytoczone jest pierwszym głosem publicznym Jego Świętobliwości Piusa X w sprawach Kościoła, a zarazem wspaniałem świadectwem żarliwości, jaką Jego Świętobliwość jest przejęty względem wielkich obowiązków swoich. Niedosyć na tem — stanowi ono rękojmię, że uroczystości jubileuszowe odbędą się świetnie, bo wola Namiestnika Chrystusa dla wiernych zawsze jest świętą, a tym razem bardziej niż kiedykolwiek odpowiada potrzebom serc, spragnionych umocnienia i otuchy z nieba.

Przystąpmy teraz do wyjaśnienia: jak należy rozumieć dogmat Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy, przedewszystkiem zaś odpowiedzmy na pytanie: co nazywamy dogmatem katolickim? Otóż dogmat katolicki — powiada ks. Władysław Szcześniak, w znakomitem dziele, noszącem tytuł: „Słownik apologetyczny wiary katolickiej" — jest to ogół prawd przez Boga objawionych i do wierzenia podanych, w które wierzyć jesteśmy obowiązani wiarą nadprzyrodzoną. Dogmat katolicki jest stały, nic do niego dorzucić nie można, bo nic nie może powiększyć skarbnicy prawd Bożych. Nic w nim zmienionem być nie może, gdyż Słowo Boże, które go stanowi, trwa na wieki. Kościół, ustanowiony stróżem tego skarbu wiary, nie ma innego zadania nad to, by przekazać go pokoleniom ludzkim takim, jakim go otrzymał.

Przepięknie to tłomaczy Ś-ty Wincenty Leryneński, wykładając tekst „Listu Ś-go Pawła do Tymoteusza", opiewający: „Strzeż dobrze rzeczy zwierzonej":

„Któż jest dziś owym Tymoteuszem — rozważa rzeczony Ś-ty Wincenty — jeśli nie Kościół powszechny wogólności, albo zbiorowe ciało biskupów w szczególności, którzy powinni sami posiadać i innym udzielać całkowitej znajomości religii Boskiej?

Co to znaczy: „Strzeż dobrze rzeczy zwierzonej?“ Znaczy: strzeż przeciwko złodziejom, przeciwko nieprzyjaciołom, aby oni, gdy ludzie zasną, nie zdołali wmieszać kąkolu pomiędzy dobre ziarno pszeniczne, zasiane ręką Syna człowieczego na własnej roli.

„Strzeż dobrej rzeczy zwierzonej“ — powiada Apostoł. Co to za rzecz zwierzona? To, co ci zostało powierzone, a nie to, coś ty sam wynalazł. Sprawa to nie bystrości umysłu, nie nauki, nie pracy, lecz publicznego przekazywania; rzecz to, co zstąpiła do ciebie, ale nie przez ciebie na świat wydana; rzecz, której winieneś być nie właścicielem, lecz stróżem, nie mistrzem — lecz naśladowcą, nie nauczycielem — lecz uczniem.

„Strzeż dobrze rzeczy zwierzonej“ — to znaczy: zachowaj nietkniętym, nienaruszonym skarb wiary katolickiej. Co ci zostało powierzone, to powinno zostać w twoich rękach i to innym winieneś przekazać. Otrzymałeś złoto, — złoto też oddaj. Nie chcę, żebyś mi rzecz jedną za drugą oddawał; nie chcę, żebyś zamiast złota, bezwstydnie przedstawiał mi ołów, lub niegodziwie podsuwał mi miedź. Wymagam nie pozorów, ale samej istoty złota.

O, Tymoteuszu! o, kapłanie! o, nauczycielu! Jeśli posłuszeństwo Boże dało ci odpowiednią zdolność, doświadczenie, naukę, obrabiaj drogocenne kamienie Boskiego dogmatu, starannie je składaj, gustownie oprawiaj, nadawaj im blask, wdzięk, piękno. Niech będzie przy twoim wykładzie jaśniej pojmowane to, w co początkowo wierzono niewyraźnie. Niechaj przez ciebie potomność ma szczęście zrozumieć to, co starzy czcili, nie rozumiejąc. Nauczaj tylko tego, czegoś się sam nauczył, abyś nie mówił rzeczy nowych, mówiąc na sposób nowy.“

Przeto dogmat katolicki jest niezmiennym.

Ale dogmat, w treści, istocie, znaczeniu swojem niezmienny, może być lepiej i głębiej badany i poznawany. Ś-ty Wincenty Leryneński mówi w tej mierze: „Godziwa to rzecz starożytne dogmaty religijne z biegiem czasu starannie wyjaśniać, opiłowywać, wygładzać; ale niegodziwa je zmieniać, obcinać, kaleczyć. Niech się stają przejrzystemi, jasnemi, wyraźnemi; ale niech zachowują koniecznie swą pełność, dokładność, charakter. Kościół Chrystusowy, troskliwy i roztropny stróż powierzonych sobie dogmatów, nic w nich nie zmienia, nic nie uszczupla, nic nie dodaje, nic potrzebnego z nich nie usuwa, nic zbytecznego nie dorzuca, nic ze swego nie zatraca, nic cudzego sobie nie przywłaszcza: lecz całą siłą o to się stara, by drogą wiernego i mądrego trakto-

wania dawnych dogmatów, udoskonalał i wygładzał pierwotną ich formę i pierwsze zarysy, by ustalał i wzmacniał ich formuły oraz przyjęte już tłómaczenia, by poręczał dane, poprzednio już potwierdzone i określone. Wreszcie cóż kiedy innego miał Kościół, w orzeczeniach swoich soborów, jeśli nie troskę, aby rozumniej wierzono w to, w co dawniej wierzono po prostu; aby żarliwiej nauczano tego, czego dawniej nauczano niedbale; aby staranniej czczono to, co dawniej czczono obojętnie? To właśnie zawsze i nic nad to innego dekretami soborów swoich nie pragnął osiągnąć Kościół. Co otrzymał od środków drogą podania, to na piśmie zostawił potomnym, w niewielu wyrazach zawierając cały ogrom przedmiotu, a najczęściej, dla lepszego zrozumienia rzeczy, oznaczając nową nazwą dawną treść dogmatu."

Dogmat przeto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny istniał od wieków, ale ponieważ nie wszyscy go należycie rozumieli, Papież Pius IX, z natchnienia Ducha Ś-go, potwierdził go i wyjaśnił, ogłaszając taki dekret 8 grudnia 1854 r., w kościele Ś-go Piotra:

„Orzekamy, iż nauka, która utrzymuje, że Najświętsza Marya Panna, w pierwszej chwili Swego poczęcia, za łaską i szczególnym przywilejem Boga Wszechmogącego, przez wzgląd na zasługi Chrystusa Pana, Zbawiciela rodu ludzkiego, została zachowana od wszelkiej zmazy grzechu pieworodnego, że nauka ta jest objawiona przez Boga, wskutek tego powinna być silnie i niewzruszenie wyznawana przez wszystkich wiernych."

Właśnie pięćdziesiątą rocznicę ogłoszenia tego dekretu świat katolicki uroczyście obchodzić zacznie, począwszy od 8 grudnia roku bieżącego, przez cały rok.

Przywilej Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy miał od najdawniejszych czasów świetnych objaśniaczów. Oto w jaki sposób tłómaczy go nasz złotousty kaznodzieja, Piotr Skarga, przed czterystoma laty z górą:

„Acz zawdy tak rozumieli kościelni nauczyciele, iż Przeczysta Dziewica, Matka Boga naszego, jako łaski pełna, żadnym nigdy grzechem, ani uczynkowym, ani pierworodnym, zmazana nie była i na Tę Samę wąż, któremu głowę zetrzeć w Synie Swym Jedynym miała, żadnego jadu swego nie wylał: wszakże przed trzemasty lat blizko, nabożni ku tej Pannie Doktorowie (uczeni kościelni) objaśniać to i wywodzić mocno i gorąco poczęli, iż jest od grzechu pierworodnego zachowana i nigdy żadnego grzechu nawet powszedniego nie miała. Przeciwili się temu drudzy katoliccy Doktorowie, to przyznawając, iż powszedniego grzechu nigdy nie miała, ale bez pierworodnego być nie mogła, od którego jednak, zaraz w żywocie matki, jako Jan Ś-ty Chrzciciel i inni poświęcona jest. I mówili, iż się Poświęcenie Jej święcić ma, ale Poczęcia Jej święcić się niema. Kościół, słuchając gadek i rozmów ich, i pism

rozmaitych, i wywodów, które przywodzili, wyroku uczynić nie chciał i przeciwnej strony Poczęciu Panieńskiemu nie potępił; ale tę pochwalił, która naucza, iż jest bez grzechu pierworodnego poczęta, bo nie Poświęcenie, ale Poczęcie Jej Niepokalane święcić rozkazał i to święto ustanowił.

O tem się w żadne spory nie wdawając, prosto i zgoła twierdzim i to wyznawamy, iż Przeczysta Matka Boża bez pierworodnego grzechu w żywocie matki Swej poczęta jest. Pospolite prawo jest, iż się każdy w grzechu poczyna jeszcze w matce swej; i z przyrodzenia, i z rodziców zmazę na duszy biorąc, staje się zaraz, skoro ludzkie, Adamowe przyrodzenie na się w żywocie weźmie, synem potępienia, niewolnikiem szatańskim, śmierci wiecznej i cielesnej podległym, z czego wynijść nie może, jeno przez Chrzest, który jest z łaski Chrystusowej. Lecz Pan Bóg, jako Pan nad wszystkiem prawem, które stawi na stworzenie Swoje, mógł i może niektóre z tego pospolitego prawa, za przywilejem osobliwie której personie (osobie, człowiekowi) wyzwolić, a to dwojakim obyczajem:

Jednym (sposobem) iż te (tych ludzi), które się w grzechu pierworodnym urodzą, zaraz jeszcze w żywocie matki poświęci i od onego przekleństwa wolnym je czyni, i Sam, Duchem Swym, Chrzest ich, albo inne zakonne lekarstwa na ten grzech odprawi. Taką łaskę uczynił Jeremiaszowi Prorokowi, i Janowi Chrzcicielowi, i innym. Ci, tak poświęceni (uwolnieni) od grzechu pierworodnego, ten dar mieli, iż dorósłszy, śmiertelnie zgrzeszyć nie mogli, ale powszedniemi grzechy wystąpić (zmazać się) mogli. Drugi obyczaj (sposób dostąpienia) takiego przywileju jest taki, iż Pan Bóg uprzedzi łaską Swoją i odkupieniem krwi Syna Swego jaką osobę, zanim się (ten człowiek) pocznie w żywocie, nie chcąc, aby się zmazała grzechem pierworodnym i aby czartowski jad się jej dotykał: uczyni Niepokalane Poczęcie jej w żywocie. Taka osoba ten dar ma, iż nie mając zarażenia złej żądzy, która idzie z grzechu pierworodnego, nietylko od śmiertelnego, ale i od powszedniego grzechu, dorósłszy, wolna jest. Taki przywilej przypisujem jedynie Matce Bożej. To się Jej słusznie przyczyta (przyznaje), bez obrażenia wiary świętej i prawdy Pisma Ś-go. Bo acz Pismo Święte okazuje, iż się każdy człowiek w grzechu poczyna, — wszakże tak się to rozumieć ma, iż zawżdy Pan Bóg, jako ten, któren Sam prawo stawi, wyjmować z pospolitej ustawy (usuwać z pod ogólnego prawa) kogo chce, osobnym przywilejem może. Pismo Ś-te, gdy mówi o wszystkich, zawżdy jednak niektóre wyjmuje i zostawuje. Gdy mówi: „Wszyscy się ludzie popsowali na ziemi", — jednak Noe był z najbliższymi swymi nie zepsowany. Także, gdy mówi: „wszyscy od małego do wielkiego idą za łakomstwem", „pijcie z kielicha wszyscy"; „każdy człowiek

kłamca", acz mówi „wszyscy", jednak niektórzy zostają (niektórych wyłącza), o których się ono powiedzenie nie rozumie (do których się słowa Pisma Ś-go nie stosują). Także i o Czystej Pannie, ono Pismo, które mówi o grzechu pierworodnym w pospolitości, ma też ten o Matce Bożej przywilej w osobności (to jest: chociaż Pismo Ś-te mówi, że na wszystkich ludzi grzech pierworodny spada, jednak z ogółu Bogarodzica za szczególnym przywilejem Bożym jest wyłączona).

Nie mówim tego, aby Panna odkupienia Chrystusowego na grzech pierworodny (na zmazanie grzechu pierworodnego) nie potrzebowała: owszem z tego odkupienia, z daru Odkupiciela, za przyszłą wysługę Jego, zachowana jest od pierworodnej zmazy. Nie równajmy Jej też w tej mierze z Chrystusem. Bo Chrystus z Ducha Ś-go poczęty jest, więc odkupiciela nie potrzebował, zaraz przy poczęciu człowieczeństwo Jego z Bóstwem się złączyło, w jedną personę Słowa. Matka Boża natomiast ziemskiem stworzeniem jest, acz nad wszystkie stworzenia uprzywilejowana, jako jedyna Matka Boga.

Mógł Ją Bóg od wszelkiego, powszedniego nawet grzechu zachować na świecie, a nie mógłże Jej też od pierworodnego obronić? Mógł zaprawdę i to, co można rzecz była Bogu dla stworzenia uczynić, uczynił przenajmilszej Matce Swojej, którą my zawsze Niepokalaną wysławiamy i z Syna Jej, Boga naszego, zacność Jej szacujemy. On mógł Sobie skrzynię złotą uczynić, wewnątrz i z wierzchu pozłoconą; On mógł taki pałac i Kościół Sobie, w którym przebywał, zbudować, który żadnej zmazy nigdy nie miał i z takiego drzewa, które żadnej skazie i próchnieniu nie podległo. A to mogąc, co się jedno łaski Jego w stworzeniu wlać mogło, pewnie wszystko Matce Swej najmilszej uczynił. Którą my pozdrawiając, Jej się opiece polecajmy, mówiąc:

„Błogosławiony żywot, który Boga naszego nosił, i piersi, z których On pożywał. Błogosławiona między monarchami i łaski pełna, opiekuj się nami, a daj nam, z przyczyny Twej, oczyszczone od grzechów serce Synowi Twemu na mieszkanie zawdy niepokalane zachować."

Objaśnienie to, jest najściślej zgodne z dekretem Papieża Piusa IX. Atoli żeby jeszcze lepiej, jeszcze dokładniej zrozumieć dogmat Niepokalanego Poczęcia oraz nadzwyczajną doniosłość przywileju Bogarodzicy, przypomnimy czytelnikom naukę Kościoła o grzechu pierworodnym:

Kościół przeto nasz rzymsko-katolicki naucza, że Pan Bóg stworzył pierwszych naszych rodziców, Adama i Ewę, w stanie łaski i niewinności. Wskutek tego przywileju, człowiek był miłym Bogu, miał prawo do Jego miłości, nie czuł w sobie złych skłonności Gdyby pierwsi rodzice nasi byli w takim stanie wytrwali, to wszyscy ich potomkowie przychodziliby również na świat w stanie łaski i niewinności. Ale inaczej rzeczy się złożyły. Adam i Ewa zgrzeszyli nieposłuszeństwem prze-

ciwko Bogu, więc sprawiedliwość Boża pozbawiła ich przywileju łaski i niewinności, stali się bowiem nieprzyjaciołmi Boga, podlegali złym skłonnościom. Dzieci ich również przychodziły na świat bez świętego przywileju, a także wszystkie następne pokolenia dziedziczyły zmazę grzechu pierwszych rodziców. Dziedzictwo to zowie się skazą grzechu pierworodnego, *żaden z ludzi od skazy tej nie jest wolnym.* Lecz Bóg nieprzebranym jest w miłosierdziu Swojem, przeto nie pozostawił rodzaju ludzkiego bez ratunku. Syn Boży, druga Osoba Trójcy Przenajświętszej, stał się człowiekiem, przebłagał słuszny gniew Boży męką i śmiercią Swoją, ustanowił Sakrament Chrztu Ś-go, który oczyszcza duszę z onej skazy grzechu pierworodnego.

Dla Przenajświętszej Dziewicy uczynił Bóg wyjątek: uwolnił Ją od skazy grzechu pierworodnego w chwili poczęcia się Jej w łonie matki, Ś-ej Anny. Zaczem: *Poczęcie Maryi było Niepokalanem, przenajświętsza Jej dusza nigdy, na najkrótszą nawet chwilę nie była dotknięta zmazą grzechu pierworodnego.* Jedna tylko Marya dostąpiła tego przywileju szczególnego, największego, najmiłościwszego, jaki mógł spłynąć na duszę ludzką po upadku grzesznym pierwszych rodziców.

Przywilej ten — mówi pisarz kościelny — jest większy od wszystkich innych, chociaż tak wyjątkowych, jakiemi Pan Bóg obdarzył w mierze nieograniczonej Tę, którą Sobie za matkę przeznaczył. Jestto przywilej tak wielki, że według zdania Ojców Ś-tych, gdyby Maryi dano do wyboru: albo stać się matką Boga, lecz być poczętą ze skazą grzechu pierworodnego; albo zostać poczętą bez zmazy tego grzechu, lecz nie dostąpić godności macierzyństwa Boskiego, — wówczas przeniosłaby przywilej Niepokalanego Poczęcia, nad przywilej niezrównanej godności Bożego macierzyństwa. W oczach bowiem Maryi, która znała i kochała Boga lepiej i silniej, niż wszystkie Duchy Niebieskie razem uważane, żadna inna łaska, żaden inny przywilej nie byłby zdolny wynagrodzić Jej nieszczęścia, jakiem byłoby dla Niej to, gdyby chociaż przez najkrótszą chwilę życia dusza Jej pozostawać miała w stanie niełaski, w stanie obrzydzenia przed Bogiem. Z drugiej znowu strony rozważając, Pan Bóg, obsypując Ją, jako Matkę Swoją, wszelkiemi łaskami i darami, jakiemi tylko mógł istotę stworzoną obdarzyć, żadną miarą nie mógł odmówić Jej tego przywileju, za który Ona oddałaby wszystkie inne. Przeto stworzył Ją niepokalaną, przeczystą, wolną od cienia najlżejszej na duszy skazy i to od pierwszego momentu Jej życia, wedle słów Pisma Bożego, które Kościół właśnie do Niepokalanej Dziewicy stosuje:

„Wszystka jesteś piękna, Przyjaciołko moja, i niemasz w Tobie zmazy.“

Bulla Papieża Piusa IX, ogłaszająca przywilej Niepokalanego Poczęcia Bogarodzicy, od najpierwszych czasów Kościoła wyznawany powszechnie, jako należący do artykułów wiary świętej, wyraża co następuje:

„Bóg Najwyższy, którego drogi są pełne miłosierdzia i nieomylnej prawdy; którego wola jest wszechmocnością; którego mądrość dosięga silnie od krańców do krańców wszystkiego i wszystko słodko urządza; przewidziawszy od wieków opłakany upadek całego rodzaju ludzkiego, z grzechu Adama wypływający; postanowiwszy, w wyrokach swoich tajemniczych, spełnić pierwsze największe dzieło dobroci Swojej, przez wcielenie się Słowa, a to w tym celu, by człowiek, wbrew miłościwym nad nim zamiarom Bożym złością szatańską w grzech wplątany, nie zginął i by to, co w pierwszym Adamie upadło, w drugim, to jest w Chrystusie, szczęśliwie powstało: — od początku, przed wiekami, dla Jednorodzonego Syna Swego Matkę, z której poczęty narodziłby się w czasie, wybrał i przeznaczył i tak dalece nad wszystkie stworzenia umiłował, że w Niej jednej najwięcej Sobie upodobał. Dlatego, przekładając Ją nad wszystkie Duchy Anielskie i nad wszystkich Świętych, wszelkich niebieskich darów obfitością, ze skarbu Bóstwa Swojego zaczerpniętą, tak przedziwnie Ją napełnił, że Ona, od wszelkiej skazy grzechowej wolna, i całkiem piękna, i doskonała, taką posiada nieskazitelność i pełność piękności, że wyższej, prócz Samego tylko Boga, wyobrazić sobie nie można i do której pojęcia nikt prócz Boga dojść nie może.

Jakoż, należało koniecznie, żeby promieniami najwyższej świętości zawsze jaśniejąc, nawet od skazy grzechu pierworodnego zupełnie wolną będąc, najzupełniejsze zwycięstwo odniosła nad przeklętym wężem Matka tak Czcigodna, której Bóg Ojciec Jednorodzonego Syna Swojego, z Istoty Swojej zrodzonego a Sobie równego, tak dać postanowił, aby z natury Swojej był On jednym i tym samym spólnym Boga Ojca i Przenajświętszej Panny Synem.“

(D. n.)





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana Naszego Jezusa Chrystusa

według Ewangelij Świętych opowiedziany

przez Sługę Bożego.

Wszędzie, w każdej społeczności — powiada ks. Compans — po za wrzaskliwemi stronnictwami, które zwykle toczą z sobą walki zawzięte, oprócz rzesz możnych, uczonych, oprócz prostaczków, mniej lub więcej ciemnych i zepsutych, znaleźć można zawsze garść ludzi niezależnych, a skutkiem mierności stanowiska swego, wolnych od pychy i zepsucia bogaczów, od przywar ciemnego tłumu, a nawet od tych błędów, w jakie wpadają uczeni. Ci oto ludzie żyją skromnie, bez rozgłosu, spełniając wiernie i gorliwie obowiązki swoje. Serca ich proste, zacne, prawe, pełne bojaźni Bożej. Poprzestają na małem, nie nęcą ich bogactwa, ani zaszczyty. W pokorze ducha, bez szemrania znoszą ciernie tego życia ziemskiego, potrafią się litować nad niedolą bliźnich, miłują pokój, unikają złego. Wzrok ich pogodny, szczery, serca dobro-

cią i słodyczą zasobne. Widzą rzeczy jasno, rozumnie, w oświetleniu właściwem, bo pożądają dobrego, pragną pożytku, łakną sprawiedliwości. Nazwać ich można bez przesady „solą ziemi", gdyż ochraniają społeczność swoją od ostatecznego upadku. Otóż, kiedy Bóg chce świat pchnąć naprzód po drodze ku dobremu, jeżeli umyśli społeczność jaką uzdrowić, posyła do niej Swoich Proroków. Dźwignią w dłoni Bożej są Prorocy, a ludzie prości, pokorni, skromni, zacnego serca, stają się punktem oparcia tej dźwigni. Głosy, zwiastujące rzeczy Boże, święte, odbijają się w ich sercach wiernie — oni to pierwsi ze szczerem rozradowaniem witają blaski tej wiosny, która ma ich społeczność odrodzić. Nikt nie wie, ilu w danej społeczności znajduje się takich ludzi, lecz Bóg zna ich liczbę. Duch Jego na nich spoczywa.

Jeżeli kto się nie liczy z tym czynnikiem, tak niezmiernie ważnym w życiu każdego narodu, każdej społeczności, to nie spostrzeże jednej z najdzielniejszych, chociaż najgłębiej ukrytych sił tego narodu. Zwłaszcza w chwilach potężnego przesilenia, wielkiej trwogi społeczności, objawia się moc tych nieznanych, zapomnianych, bezimiennych. Bóg ich oszczędza – oni cało wydostają się z potopu i wyszedłszy z arki, rozpoczynają na ziemi oczyszczonej, młodością kwitnącej, nowy okres, nową dobę życia. Trudno oznaczyć dokładnie, jak wielu było pomiędzy Żydami owych ludzi prostych, pokornego serca, wyczekujących oczyszczenia duszy narodu swego z błędów; to jednak pewna, że spotkać było ich można, acz potrosze, wszędy, w miastach i po wsiach, w Galilei i w Samaryi, w świątyni i nad jeziorem Tyberyadzkiem, a nawet pomiędzy ogólnie wzgardzonymi celnikami.

Ciężkie jarzmo dźwigali Żydzi w chwili, gdy Chrystus Boską działalność Swoją rozpoczynał, mimo to zwycięscy Rzymianie pozostawili im, zarówno w Judei, jak i w najodleglejszych koloniach, nieco dowolności w zarządzaniu sprawami własnemi. Rządziła zaś sprawami temi, i religijnemi, i świeckiemi, Rada, utworzona z siedmdziesięciu członków, którą, według podania, miał ustanowić sam Mojżesz. Jakoż w Starym Zakonie powiedziano:

„I rzekł Pan do Mojżesza: — Zbierz mi siedmdziesiąt mężów ze starszych Izraelowych, które ty znasz, że są starszymi ludu i mistrzami? I przywiedziesz je do drzwi Przybytku Przymierza, i każesz im tam stać z sobą. Żebym zstąpił i mówił do ciebie: — I odejmę z ducha twego, i dam im, aby dźwigali z tobą brzemię tego ludu, a nie ty sam był obciążon. — Przyszedł tedy Mojżesz, i powiedział ludowi słowa Pańskie, zebrawszy siedmdziesiąt mężów z starców Izraelskich, które postawił około Przybytku. I zstąpił Pan przez obłok, i mówił do niego odejmując ducha, który był w Mojżeszu, i dając siedmdziesiąt mężom. A gdy Duch odpoczął na nich, prorokowali, ani potem przestali."

Ale w rzeczywistości, Rada z siedmdziesięciu członków złożona, zwana Sanhedrynem, która zarządzała sprawami żydowskiemi za czasów Chrystusa Pana, nic nie miała spólnego ze „starszymi ludu“, o których mówi Pismo Ś-te. Owi „starsi ludu“, jak nazwa wskazuje, byli jeno *przedstawicielami ludu*, zgromadzali się na obrady w wypadkach ważniejszych, lecz nie stanowili rządu narodu. Także mylnie uważali niektórzy Sanhedryn za Radę Najwyższą, ustanowioną przez Ezdrasza, gdyż ta Rada była jedynie zgromadzeniem biegłych w rozumieniu Pisma Ś-go, powołanem do roztrząsania spraw czysto religijnych. Przypatrzmyż się bliżej onemu Sanhedrynowi.

Otóż, właściwy Sanhedryn spotykamy dopiero na dwieście pięćdziesiąt lat przed Chrystusem Panem, za Antyocha Epifanesa. Pisarze żydowscy nazywali go z grecka: *gerusia*, co znaczy: *senat*. Z początku władza tego senatu była bardzo niewielka. Z biegiem czasu rozszerzała się, a za króla Hirkana, około roku 130 przed Chrystusem, przybrała nazwę Sanhedrynu (właściwie: *Synedrionu*). Rzymianie, zagarnąwszy Judeę w 63 roku przed Chrystusem, pozostawili Żydom tę ich władzę, lecz ograniczyli ją.

W chwili wystąpienia Pana Jezusa z Boską nauką, przewodniczył w Sanhedrynie kapłan najwyższy. Nosił on tytuł *Nasi*, co znaczy: *Książę*. Zastępował go w sprawach sądowych: *Abbeth-din*, to jest: *Ojciec sądu domu*. Członków do Sanhedrynu wybierano przedewszystkiem z pomiędzy tych rodów, które miały prawo do najwyższego kapłaństwa; ci wybrani zasiadali w Sanhedrynie albo jako arcykapłani, albo jako tylko członkowie. Wybierano następnie członków do Sanhedrynu z rodów mniej świetnych, wszelako odznaczających się możnością, posiadających dowody, iż pochodzenie ich jest czysto żydowskie, iż nie skaziły się związkami krwi z rodami cudzoziemskiemi. Takich członków nazywano „starszymi“. Wreszcie wybierano z pomiędzy doktorów, kierowników szkół, rabbich (nauczycieli), oraz z pomiędzy tych wszystkich, którzy zgłębiali lub tłómaczyli Thorę. Takich członków nazywano „uczonymi w piśmie“, „mistrzami“, „przełożonymi.“

Sanhedryn miał obowiązki bardzo różnorodne. Władzą swoją ogarniał wszystko, cokolwiek dotyczyło życia narodu. Był przeto jednocześnie i synodem, i sądem, i sejmem. Rozstrzygał sprawy, wchodzące w zakres i wiedzy religijnej, i obrzędów, i prawa; czuwał nad utrzymaniem nieskazitelności plemienia; przestrzegał zakonnego porządku małżeństwa w rodach kapłańskich; ustanawiał kalendarz; rozstrzygał spory pomiędzy Żydami; czuwał nad nienaruszalnością Zakonu i podań świętych; pozywał przed sąd swój bluźnierców i proroków fałszywych, a mógł ich skazać nawet na śmierć przez ukamienowanie, lecz wyrok taki musiał zatwierdzić starosta rzymski.

Tedy szeroką władzę i wielkie znaczenie posiadał Sanhedryn, ale już za Heroda, przed narodzeniem Pana Jezusa nikczemność i szalbierstwo w nim nurtowały. Rzymianie i zatwierdzani przez nich wielkorządcy żydowscy wpływali na wybór najwyższych kapłanów, a wprowadzając na to stanowisko zwierzchnicze sobie oddane osobistości, wywierali jednocześnie wpływ na cały Sanhedryn. Za czasów Jezusa owa rada najwyższa była już niemal zupełnie zgangrenowana. Dopóki w niej faryzeusze mieli przewagę, dopóty, pobudzani przez żarliwość dla nieskazitelności Zakonu, utrzymywali jej niezależność. Nie wahali się oni pozywać nawet Heroda przed sąd swój. Ale w chwili wystąpienia Jezusa z nauką zbawienia, w Sanhedrynie rządzili saduceusze, którzy niezależność instytucyi zatracili; zabiegali oni tylko o to, by naród z pokorą dźwigał jarzmo rzymskie, nie obrażał władz, ustanowionych przez pogan zwycięskich. Starosta rzymski z czasów Jezusa, Piłat, miał w nich najgorliwszych popleczników. Z oddaniem służalczem dopomagali mu do utrzymania narodu swego w karbach niewolniczych. W sądzie nad Jezusem, jak to zobaczymy w miejscu właściwem, okazali się więcej dbałymi o spokój w kraju i o łaskę cesarza rzymskiego, niż sam wielkorządca.

W dziejach świata zdarza się bardzo rzadko, żeby władze, już istniejące, same dały powód do odnowienia własnego i porządków społecznych. Troszczą się one zawsze i przedewszystkiem o utrwalenie jak najdłużej swego panowania i dawnych porządków. Wyłącznie zwracają uwagę na chwilę obecną, każda myśl nowa przyprawia je o niepopokój, drżą, żeby dzień jutrzejszy zmian jakich nie przyniósł. Utrzymanie porządku istniejącego leży w ich interesie. Odwracają się od postępu, chociażby go narzucała konieczność, gdyż każdy postęp niszczy porządek dawny, a zaprowadza nowy. Sanhedryn też opierał się wszelkiej nowości, wszelkiemu postępowi, ale oprzeć się nie zdołał. Gdyby był się oparł, stanąłby na drodze rozwoju Królestwa Bożego, to jest utrudniłby rozwój ów o tyle, o ile jakakolwiek władza ludzka może się opierać mocy Ducha Bożego

Przewroty polityczne i religijne — mówi Ojciec Didon — które więcej niż od stu lat rozgrywały się w Palestynie, w coraz trudniejszem położeniu stawiały państwo żydowskie, wciąż je popychały do ostatniej zagłady. Rozterki bratobójcze ostatnich Asmonejczyków, zdobycie Jerozolimy przez Pompejusza, wyniesienie Heroda do godności królewskiej przez cesarza Augusta, tyraństwo Heroda, poniewierka Zakonu przez niego, podział (po śmierci Heroda) ziemi żydowskiej na cztery części, okrutne rządy Archelausa, zniesienie etnarchii (królestwa żydowskiego) i zamienienie jej w prowincyę rzymską, wymagana od tego czasu przysięga na wierność pogańskiemu cesarzowi, haracz, corocznie przez Rzy-

mian ściągany, na znak zupełnego ujarzmienia, sam widok starosty rzymskiego w mieście świętem i samowładcze jego rządy: wszystko to złożyło się na bolesne od roku 64 (przed narodzeniem Jezusa) dzieje Żydow; wszystkie te ciosy spadły, jeden za drugim, na naród ginący.

Żydzi głęboko do krainy i religii swej przywiązani, miotają się w rozpaczy bezsilnej, smutek ogarnia cały naród, wszyscy boleją po straconej wolności. Srogo ich udręcza jarzmo pogańskie, ale o wiele srożej ich gnębi poniewierka obyczaju i Zakonu. Zgodziliby się, chociaż niechętnie, pędzić życie pod panowaniem obcem — lecz nie mogli znieść ucisku sumienia, to jest rządu, znieważającego Zakon święty. A właśnie starostowie rzymscy urągali Zakonowi, obrażali go ustawicznie. Lud jątrzył się i oburzał, co łatwo zrozumieć. Człowiek bowiem nad wszystko ceni i przenosi swobodę religijną, swoboda owa jest dla serca ludzkiego najdroższą. Pamiętać też należy, iż ze wszystkich narodów, jakie kiedykolwiek istniały na ziemi, żaden nad żydowski nie okazał gorętszego przywiązania do Boga i Zakonu swego.

Minęły dawno czasy, kiedy lud izraelski przeniewierzał się Bogu swemu, kiedy zwracał się ku czci bałwanów, sprowadzając na siebie klątwy Proroków. Zakon swój źle rozumiał, ale miłował go nad wszystko, a miłość ta weszła niejako w krew plemienia, była tak potężną, że lud ten w każdej chwili gotów był powstać, niby jeden mąż, aby bronić zagrożonego Zakonu. Rzymianie dobrze o tem wiedzieli, przeto pierwsi ich cesarze pamiętali o drażliwości Żydów, pod względem religii i liczyli się z nią, mimo to nie zawsze potrafili zapobiedz starciom. Ich postanowienia, dotyczące urządzeń w krainie żydowskiej, ustawicznie zaczepiały religijne pojęcia i wymagania Żydów, obrażały je. Już samo coroczne ściąganie haraczu dawało powód do zatargów.

Cesarz Tyberyusz, w początkach swego panowania, postępował, również jak poprzednicy jego, łagodnie, powtarzając zasadę samolubną:

— Mądry pasterz strzyże runo owiec swoich, ale nie obdziera ich ze skóry.

Więc niechętnie zmieniał swoich wielkorządców; znając się na ludziach, wiedząc, iż człowiek z natury swojej jest skłonny do grzechu, do nadużyć, wiedział też o chciwości nienasyconej tych swoich zastępców, przyrównywał ich z pogardą do much, które gromadnie obsiadają ciało człowieka rannego i wysysają z niego ostatnią kroplę krwi.

— Odpędź taką muchę — dodawał — która się już nassała, a wnet przylecą inne i z równą żarłocznością na ofiarę się rzucą.

Z biegiem jednak czasu, usposobienie Tyberyusza dla Żydów znacznie się zmieniło, a to wskutek sprawy szpetnej, gorszącej, która zresztą oburzyła wszystkie dostojne rody rzymskie. Żydzi zdołali nawrócić na swoją wiarę pewną dostojną i niezmiernie bogatą panią rzymską,

Fulvię, a nawróciwszy, wyzyskiwali ją wszelkiemi sposoby. Spostrzegł to małżonek Fulvii, Saturnin, i zawiadomił o tem prefekta. Ujawnione szalbierstwo kilku Żydów obudziło w poganach nienawiść przeciwko całemu narodowi, co przyszło tem łatwiej, gdyż nienawiść ta w Rzymianach tkwiła od wieków, a tylko chwilowo była zażegnana przez cezarów. Sejan, powiernik Tyberyusza, idąc za głosem ogólnego rozdrażnienia, poprzysiągł zagładę Żydom. Tyberyusz, złamany wiekiem, spędzający czas w rozkosznem swojem na wyspie Kaprerze ustroniu, zdał całą sprawę na wolę potężnego ministra. Jakoż niebawem kolonie żydowskie dotkliwie uczuły gniew Sejana. W Judei zmieniono starostę: miejsce Waleryusza Gratusa zajął Piłat. Stało się to około r. 26.

Poprzednicy Piłata, którzy od lat dwudziestu Judeą zarządzali, starali się nie drażnić religijnych uczuć Żydów. Więc nie wnosili do Jerozolimy sztandarów rzymskich, gdyż na nich było wyobrażone popiersie cesarza. Żydzi na wizerunek ten patrzeć nie mogli, bo Zakon surowo im wzbraniał poglądać na wizerunki, czy to lane, czy rzeźbione. Piłatowi owo uwzględnianie Zakonu wydało się upokorzającem dla Rzymian, przeto objąwszy zarząd Judeą, kazał wojsku rzymskiemu wejść do Jerozolimy nocą ze sztandarami. Począł tedy spełnianie urzędu od pogwałcenia Zakonu, od znieważenia go. Lud, dowiedziawszy się o tem, zawrzał oburzeniem. Udał się tłumnie do Cezaryi—tam bowiem wówczas Piłat przebywał — i przez pięć dni oblegał jego pałac, domagając się usunięcia ze świętego miasta przedmiotów dla każdego Żyda obrzydliwych. Dnia szóstego Piłat rozkazał Żydom zgromadzić się w cyrku (miejscowość, w której się odbywały rozmaite igrzyska), posławszy tam przedtem oddział wojska. W cyrku Żydzi znów ponowili żądania swoje. Wówczas, na znak Piłata, wojsko otoczyło ich i obnażyło miecze. Nie ulękli się Żydzi, nadstawiając piersi, wołać poczęli:

— Polężem raczej, a nie będziemy patrzyli na pogwałcenie Zakonu świętego.

Zachwiał się Piłat wobec takiej niezłomności, kazał cofnąć z miasta sztandary. Lecz przy zdarzonej sposobności urągał i bezcześcił Zakon, idąc za wskazówkami Rzymu. Oczywiście, że postępowanie starosty wzniecało coraz większą zawziętość przeciwko Rzymianom.

W narodzie, którego istnienie jest zagrożonem, przywiązanie do kraju wzrasta w najwyższym stopniu, jak również wzrasta do najwyższego stopnia nienawiść dla wrogów. Rzymianie w oczach Żydów byli nietylko ich ciemiężcami, ale także byli dla nich wstrętnymi, z powodu bałwochwalstwa swego. Byli wrogami nietylko Izraela, ale Boga nawet, samo ich dotknięcie czyniło Żyda nieczystym, przyczyniało go o zmazę. Nurtowała tedy w Żydach najstraszniejsza nienawiść, bo zaiste najstraszniejszą jest nienawiść religijna. Przeklinali Rzymian, wzywali na

ich głowę pomsty Jehowy. Nienawiść ich, tajemna i milcząca, ale nieprzebłagana, tliła niby żar pod popiołem, zwłaszcza wśród pospólstwa i faryzeuszów.

Inny naród ugiąłby się pod tak silnem jarzmem, jakiem było rzymskie: Żydzi ugiąć się nie chcieli. Żyda bowiem można sponiewierać, podeptać, znieważyć, ale poskromić, ale złamać — niepodobna. Z wyjątkiem stronnictwa saduceuszów, którzy, znikczemniali, powodowani interesem, czołem bili Rzymianom i przedstawicielowi władzy cesarskiej — staroście, — wszystek lud zresztą, acz cierpiąc największe poniżenie, przechowywał w sercu nadzieję lepszej przyszłości. A w miarę wzrostu ucisku, wzrastała także owa nadzieja, wzrastała pewność, że tak długo nie potrwa, że czasy rychle się zmienią.

Więc coraz pilniej rozczytywali się Żydzi w pewnych księgach Zakonu, a mianowicie w księgach: Judyty, Machabeuszów, Daniela, Henocha, wertowali psalmy Salomona i Dawida, gdyż pisma te podtrzymywały i krzepiły ich nadzieje. Umacniano ducha wspomnieniami o mężnych Machabeuszach i zwycięskich ich walkach; podniecano zapał i wytrwanie, rozważając ukryte znaczenia przepowiedni Proroków; z upodobaniem rozpamiętywano liczne upadki wielkich mocarstw dokoła Izraela, zawsze istniejącego niewzruszenie; pieśni Salomona i Dawida uczono się na pamięć, gdyż w nich jakoby drgała dusza narodu, wybranego przez Jechowę.

Słowem Pismo Boże dniem i nocą było na ustach uciśnionych Żydów; zbroiło ich ono w cierpliwość, w wytrwanie, było balsamem kojącym w cierpieniach, było zadatkiem lepszych czasów — czasów tryumfu nad wrogiem. Wszystko się wówczas przeciwko Żydom sprzysięgło — oni jednak żyć, istnieć chcieli i wierzyli niezachwianie, że żyć będą; wierzyli w swoje przeznaczenie, w to — że kiedyś zapanują nad całym światem. W chwili tak wielkiej niedoli, tak okrutnej poniewierki, jedna ich myśl ogarnia, góruje nad wszystkiemi ich sprawami, ta mianowicie: że Królestwo Boże się zbliża, że rychle ukaże się ich wybawca — Mesyasz, Król przyszłych wieków...

Wiara w przyjście Mesyasza, jak wiemy, trwała w narodzie żydowskim od wieków. Atoli długo, długo płonęła ona jaśnie tylko w sercach mężów świętych, natchnionych Bogiem Proroków. Lud uczuwał ją przelotnie, poruszała się ona żywiej w jego umysłach tylko w chwilach trwogi. Teraz ogarnęła wszystkie umysły, rozszerzyła się w pełni we wszystkich sercach. Nigdy — nawet podczas niewoli egipskiej, nawet na wygnaniu babilońskiem, nawet pod jarzmem okrutnego Antyocha, nie była tak żywą, tak porywającą. Owładnęła wszystkiemi stronnictwami i stanami, panowała wśród możnych i wśród nędzarzy—wszystkich umacniała, podnosiła, ożywiała.

Gdy myśl taka narodem owładnie — czyni uwagę pisarz kościelny — to chociaż ogarnia wszystkie warstwy, ale nie jest przez wszystkich jednako rozumiana. Mieni się w umysłach ludzkich, przybiera rozmaite znaczenia, stosuje się do biegu zdarzeń, do istniejących okoliczności. Przeto wiara w Mesyasza także niejednako u Żydów się przedstawiała. Inaczej ją sobie tłomaczył oziębły dla religii saduceusz, inaczej trzymający się ściśle litery Zakonu faryzeusze, inaczej lud oślepiony stekiem zabobonów, inaczej Żydzi cisi, prawdziwie, rozumnie pobożni. Zasada tej wiary była jedna: Królestwo Boże rychle już będzie ustanowione na świecie; ale nikt z pewnością nie wiedział: jak się to stanie? jak się ono ludziom przedstawi. Najwyżsi Kapłani, saduceusze, faryzeusze, z rozmaitych powodów, jedni wskutek samolubstwa, inni wskutek omylnego rozumienia Pisma Ś-go, mniemali, że Mesyaszem stanie się sam lud izraelski, a pod Królestwem Bożem rozumieli posłuszeństwo Zakonowi. Tak mniemając, dowodzili, że takie Królestwo może się pogodzić z istniejącym porządkiem, to jest — z uległością dla władzy rzymskiej, dla zamieszkującego w Antyochii wielkorządcy rzymskiego i dla ustanowionego w Cezarei starosty.

Mniemania takie podzielały klasy wyższe, to jest ci, którzy myśląc jeno o sobie, wszystko sobie wyobrażali w ten sposób, żeby nie narażać miłego spokoju swego, żeby zachować stale wszelkie te dobra i korzyści, jakie na nich z przeszłości spłynęły. Według nich, Królestwo Boże nastanie wtedy, gdy skarbiec świątyni będzie się coraz wiecej wzbogacał hojnemi darami prawowiernych, gdy krużganki tej świątyni będą sią zapełniały coraz tłumniej pobożnymi, gdy cześć coraz większa będzie otaczała starszych, gdy dochody z dziesięcin będą coraz wzrastały, gdy mistrzowie będą mieli coraz liczniejszych słuchaczów, gdy Zakon na świat cały się rozszerzy.

Lecz taka obojętność dla wolności narodu, taka zgoda z jarzmem, takie cierpliwe wyczekiwanie lepszej przyszłości — nie mogło zadowolić dusze gorętsze, silniej kraj miłujące. A było dusz tych wiele pomiędzy Żydami, nawet pomiędzy faryzeuszami, dusz, które z przywiązaniem do Zakonu łączyli namiętne pragnienie potęgi narodowej. Do Żydów, takie pożądania żywiących w sercu, należeli słynni Machabeusze; należało onych sześć tysięcy, którzy za Heroda odmówili przysięgi na wierność cesarzowi; należało wielu słynnych uczonych, jak Judasz Gaulonita i Saddok; należeli wreszcie, w ostatnich chwilach istnienia krainy żydowskiej, Kanainowie czyli Zeloci, nieprzejednani stronnicy zbrojnego powstania, którzy obrali sobie za hasło:

— Nie znamy innego pana, okrom Boga! Nie będziemy płacili haraczu Rzymianom, gdyż haracz jest znakiem niewoli!

Otóż ci wszyscy oczekiwali w Mesyaszu bohatera rycerskiego, prawdziwego króla, który, z mocy Bożej, uwolni naród od jarzma rzymskiego, podbije tych pogan, podbije świat cały i rozciągnie nad nim Zakon Mojżesza. Te ich mniemania, ta ich wiara szybko się rozkrzewiła pomiędzy pospólstwem i młodzieżą, to jest, pomiędzy tłumami, łatwo dającemi się unosić wszelkim zapałom. Tłumy te były jakby podminowane — lada chwila mogły wywołać powstanie w całym kraju. Każde nowe rozporządzenie wielkorządcy, uwłaczające Zakonowi, oburzało je, doprowadzało do groźnego wrzenia, do oporu, niecofającego się przed niczem, nawet przed torturą i śmiercią!

Byli i tacy, którzy złudzeni również mylnem tłomaczeniem Proroków, w Mesyaszu oczekiwali jakiejś nieziemskiej istoty, która zjawić się miała na niebie. Ci znów mniemali, że ta istota już nadeszła, lecz do czasu ukrywa się po za chmurami. Gdy nadejdzie chwila, ona się ukaże, zabłyśnie piorunowo w majestacie królewskim, pokona wszelkie narody, uczyni nad niemi sąd, poczem nastąpią wieki pełne szczęśliwości. Byli wreszcie tacy, którzy oczekiwali dwóch Mesyaszów, z których jeden będzie walczył, cierpiał, aż ulegnie przemocy wrogów; wówczas zjawi się drugi i chwałą swoją świat napełni cały.

Nie wszyscy jednak Żydzi palestyńscy, za czasów Jezusa, oczekiwali w Mesyaszu ziemskiego bohatera, który miał się zająć rozszerzeniem na całym świecie chwały i potęgi ziemskiej narodu żydowskiego. Wprawdzie takie mniemanie było bardzo rozpowszechnione, lecz nie zdołało ono omamić umysłów, które właściwiej rozumiały Mesyasza. Umysły te szły za wskazaniami Henocha i Salomona. Księga Henoha zaś zowie Mesyasza: Wybranym, Pomazańcem, Synem człowieczym, a nawet — Synem Bożym. Według tej księgi, Mesyasz stoi na równi z Aniołami, a jako Syn Boży mieszka u Tego, „który ma początek dni.“ „Zasiada na tronie Wielmożności, po prawicy Bożej. Wszyscy Go wzywać będą, a On będzie nad wszystkimi królował. Jego powołaniem będzie sprawować urząd Proroka, doktora i sędzi. W Nim mieszka duch mądrości, i zrozumienia, i prawda, i moc, i duch tych, których już niema. Będzie ostatnim z Proroków; wpływem Swoim dosięgnie wszystkie narody ziemi; będzie światłością Proroków i nadzieją strapionych; będzie sądził wszystkie skrytości ludzkie u tronu Wielmożności Bożej; będzie sądził nietylko ludzi, ale także upadłych aniołów: Azaela i wszystko wojsko jego. Gdy dokona sądu, niebo i ziemia zostaną odnowione, nieprzystępne dla grzeszników.“

Ale i ci Żydzi nie mieli pojęcia o Mesyaszu, który miał przyjść w ubóstwie, pędzić życie w cierpieniu, umrzeć i zjawić się powtórnie w chwale. — Mesyasz — mówili — nie umiera. Będzie żył wiecznie i wiecznie też trwać będzie wznowiony przez niego tron Dawidowy —

i dodawali za patryarchą Jakubem: — A przyjdzie, który ma być posłan, lecz wtedy dopiero, kiedy berło będzie odjęte od Judy.

Odwieczne nadzieje Żydów w całej czystości pierwotnej, przechowały się tylko w sercach prawdziwie pobożnych, skromnych, pokornych a milczących. Takie serca pozostawiały swobodne działanie natchnieniu Ducha Ś-go, nie krępując Go, ani obrażając żadną ludzką namiętnością, żadnem uprzedzeniem. Nie złorzeczyły poganom, nie przeklinały ich — odwet za krzywdy swoje zdawały na Boga. Wierzyły w słowa Proroków, iż naród żydowski wyzwolonym zostanie od nieprzyjaciół, ale nie marzyły o ich podbiciu, nie łudziły się szalonemi mrzonkami przyszłej swej potęgi ziemskiej. W przyobiecanym Mesyaszu oczekiwały znijścia Boga Samego, Emmanuela i Syna Bożego — Tego, który rozświeci ciemności pogan, który sądzić będzie w sprawiedliwości, który będzie chwałą Izraela.

Oto jak wierzyli prawdziwie pobożni Żydzi. Lecz zapytani: w jaki sposób dokona się to wszystko? — nie odpowiadali. Sprawę Mesyasza uważali za tajemnicę, o której rozjaśnienie człowiekowi nie godziło się kusić. Wyroki Boże przewyższają umysł ludzki. Zrozumieć je można dopiero w miarę ich spełniania się, gdyż posiadają w sobie i przynoszą ze sobą światłość, która oświeca dusze. Zanim się spełnią, dreszcz oczekiwania przebiega serca, przebiega je niepokój pragnień gorących, łaknących zaspokojenia.

Zaiste, godnym rozwagi głębokiej jest widok Żydów, widok onej garści ludzi, stawiającej z nieugiętą śmiałością czoło olbrzymiej potędze rzymskiej. Ludzie ci słabi są, zgnębieni, jak nigdy przedtem w długiej kolei wieków nie byli — ale też nigdy ich pragnienia, ich nadzieje tak wysoko, jak w tej chwili, nie sięgały. Chcą dojść do tego, co Rzymianie po długich walkach otrzymali — dojść do panowania nad światem i wierzą usilnie, wierzą niezłomnie, że cel ten osiągną. Lecz gdy Rzymianie pragną jedynie potęgi ziemskiej, panowania siły swojej: owa garść ludzi słabych pragnie Królestwa i panowania Boga swego, a do świątyni tego Boga garnie się, niby do ostatniego swego schroniska. I ta garść ludzi słabych wciąż, z natręctwem gorączkowem, zapytuje uczonych mistrzów swoich:

— Powiedzcie, och, powiedzcie, kiedy przyjdzie Zbawiciel? Kiedy przyjdzie Mesyasz?

A mistrzowie uczeni odpowiadają:

— Wielkie, wielkie są grzechy nasze, one to wstrzymują nadejście dnia wyzwolenia, dnia pociechy. Zali jesteśmy godni, aby Bóg przybył z pomocą w strapieniach naszych?

Jakoż Mesyasz nie zjawiał się.

Mistrzowie uczeni zbywali lud taką odpowiedzią mglistą, bo sami niewięcej od niego wiedzieli o chwili przyjścia Mesyasza. A lud wrzał z niepokoju, niecierpliwił się, w każdej chwili był gotów wybuchnąć, pójść za każdym, kto go pociągnie; wciąż miał ucho otwarte i nadstawione na każde wołanie, na pobudkę każdą.

Bo dusza narodu, podobnie jak dusza pojedyńczego człowieka, miewa chwile ostatecznego przygnębienia i najwyższej podniety; chwile głębokiego spokoju i wielkiej gorączki. Naród żydowski, od czasu ostatecznej utraty swej niezależności, swego rządu, to jest, odkąd usuniętym został jego etnarcha (król) Archelaus, — znajdował się właśnie w okresie nadzwyczajnego przesilenia.

(D. c. n.)



Bogarodzica naszą Matką.

Następnie Ś-ty Jan Chryzostom — w dzień Wielkiejnocy święci się tryumf Boga-człowieka; mowca zestawia Ewę i Maryę.

„Wszyscy się radujmy i weselmy — chociaż Pana tryumf święcimy — radość wspólna wszystkim. Czyż Chrystus nie wszystko dla nas uczynił? Bronią, jaką nas dyabeł pobił — jego samego pokonał. A jakże to, zapytacie. Słuchajcie. Dziewica, drzewo i śmierć, oto znaki naszego upadku. Przypatrzcie się, jak te trzy rzeczy służą ku naszemu zwycięstwu. Na miejscu Ewy — Marya, zamiast drzewa wiadomości złego i dobrego — drzewo Krzyża, zamiast śmierci Adama — śmierć Pana naszego Jezusa. Wiedzcie, iż szatan tąż bronia, jaką walczył, pognębiony został.“ *)

Mamy świadectwa Ojców Kościoła, jak naprzykład Świętego Hieronima (r. 331—420). Można go uważać za przedstawiciela całego świata z wyjątkiem Afryki, — był przyjacielem Papieża Damazego, uczniem Ś-go Grzegorza Nanzjanzeńskiego w Konstantynopolu i sławnego Dydyma w Aleksandryi. Urodzony w Dalmacyi, przebywał we Włoszech, we Francyi, w Palestynie i Syryi. Otóż w listach swoich wypowiada jako prawdę ścisłą i pewną, zawartą w tych słowach:

„Śmierć przez Ewę, życie przez Maryę.“ **)

Święty Augystyn już należy i do V wieku (354 — 430) on także głosi tę zasadę: „Śmierć przez jedną niewiastę i przez jedną niewiastę życie.“ Niema wątpliwości, że naukę tę przejął od Ś-go Ambrożego, swojego mistrza chociaż i sam ją w rozmyślaniach zgłębiał.

---

*) S. Joan. Chrys. nom. in s. Pascha n. 2.

**) S. Ang. de Agam. Christi c. 22.

W dziełach wydanych pod imieniem świętego biskupa Medyolanu, oto co czytamy:

„Słuchajcie, najmilsi — jaka to tajemnica sprawiedliwości... Przez pierwszego człowieka żywot stracony, przez drugiego odzyskany. Pierwszy utracił łaskę otrzymaną od Boga, drugi ją odzyskuje wraz z życiem, pierwszy za namową niewiasty upadł, drugi, rodząc się z niewiasty-panny z poniżenia ratuje... Więc przez niewiastę zło — albo raczej przez niewiastę wszelkie dobro — Ewa niewolnica, w Maryi odzyskuje swą godność — Ewa traci długowieczność, Marya daje nam wieczność, Ewę i jej potomstwo gubi owoc z drzewa, Marya wysługuje nam łaskę zbawienia, gdyż Chrystus, Syn Maryi umiera na drzewie Krzyża i wysługuje wszystkim owoc odkupienia.“ *)

Zbyteczną byłoby rzeczą przytaczać świadectwa z następnych czasów, nie objęłyby ich całe tomy, wystarcza powtórzyć niektóre orzeczenia przeważniejszych mężów kościelnych. Piotr Chryzolog (400 — 450) biskup Rawenny, którego list dogmatyczny przeciwko Eutyhesowi herezyarsze, stwierdza wielką jego powagę, tak się wyraża: „Niewiasta, która niegdyś stała się przyczyną naszej zguby — jest też narzędziem ocalenia i ta, która długo była matką umarłych, za sprawą Bożą jest matką żyjących i prawdą jest, że bez Maryi ani śmierć nie mogła być pokonaną, ani życie odnowione.“ **)

Po Ś-tym Piotrze Chryzologu — Ś-ty Bernard, w imieniu wielu innych, tak tłómaczy porządek Boży:

„Tak, bracia kochani, mężczyzna i niewiasta wielką szkodę nam wyrządzili, ale dzięki Bogu, wszystko zostało przywrócone przez mężczyznę i niewiastę z naddatkiem nawet. Wielka szkoda — większa łaska. Mądry i litościwy Twórca człowieka, zamiast kruszyć, co było wykrzywione, odrestaurował wykwintnie — powołując nowego Adama i przemieniając Ewę w Maryę...

Okrutną była pośredniczką owa Ewa, przez nią bowiem stary wąż całego człowieka jadem trującym przejął — Marya dla jednej i drugiej płci znałazła dziwne ukojenie—lekarstwo. Tamta była pomocnicą w uwiedzeniu, ta w oczyszczeniu—tamta podniecała do przestępstwa, ta usprawiedliwienie zjednała.“ ***)

O tej prawdzie, nauczanej przez swoich Ojców i Doktorów Kościoła śpiewa:

---

*) In opusc. S. Ambr. serm. 45.

**) S. Petrus Chrys. serm. 64.

***) Illa enim ministra seductionis, haec propitiationis, illa suggessit praevaricationem, haec nigessit redemptionem. S. Bern. De XIX pr.

Co nam wydarła smutnej Ewy wina,
To przez Cię zwraca dobroć Twego Syna.
Przystęp do nieba wiecznie nam zamkniony
Otwartym przez Cię widzi człek strapiony. *)

Posłuchajmy teraz niektórych Ojców Kościoła greckiego — należą oni do epoki nie tak odległej, jak tamci, których słowa przywodziliśmy.

Jan Damasceński w pięknem wezwaniu Najświętszej Maryi Panny, w którym wylicza wielkie Jej przywileje, woła:—„O, córko Boża—Tyś ozdobą ludzkości i naprawczynią winy Ewinej. O, święta córo, niewiast ozdobo! Pierwsza Ewa stała się grzesznicą — sprowadziła śmierć na ziemię — uczestnicząc w zasadzce kusiciela na pierwszego ojca naszego, lecz przez posłuszeństo woli Bożej Marya starła głowę węża i zapewniła nam szczęśliwą nieśmiertelność. Inny pisarz grecki w dosadniejszy sposób się wyraża, jest nim Jan, metropopolita Eubei:—„Wesel się Adamie — wszak stoi przed Bogiem Marya. Wąż kusiciel przez niewiastę uwiódł cię i do nieposłuszeństwa przywiódł za sprawą niewiasty zdeptać go mocen jesteś. Drzewo i niewiasta wypędziły cię z raju — teraz drzewo i niewiasta raj ci przywraca. Niewiasta, uczyniona ręką Bożą — zwodzicielką twoją była, a oto niewiasta zrodzona z Joachima i Anny daje światu pogromcę owego tyrana. I ty, Ewo, raduj się — potomstwo oczyszczone z winy, udziałem jego nieskażoność wieczna. **)

„Lekarstwo musi być zastosowane do choroby, pisze mowca z IX wieku, boski lekarz wynalazł skuteczne leki. Zsyła Anioła światłości dla pokonania Anioła ciemności, Księcia niebieskiego naprzeciw ziemskiego mocarza — skrzydlatego posłańca w miejsce rzecznika, pełzającego po ziemi. W miejsce niewiasty wypędzonej z raju — zjawia się niewiasta ofiarująca w świątyni — za tę, która naradza się z szatanem, mamy trwającą na rozmowie z Bogiem i rozważającą słowa Jego w sercu swojem.“ ***)

* * *

Po przytoczeniu licznych świadectw z różnych czasów i różnych miejsc, możemy twierdzić, że nauka wyłożona należy do prawd obja-

*) O gloriosa Virginum, quod Eva tristis abstulat etc.
**) Ioan. Eub. ser. in Concept. S. Deipar.
***) Ioan. Geometre sermo in St. Deip. Anunciat.

wionych. Apostołowie po otrzymaniu Ducha Ś-go nam ją przekazali — innej przyczyny rozpowszechnienia jej dopatrzeć trudno.

Podziwiać nam należy boski porządek i utrzymanie jedności w działaniu. Upadek człowieka i odkupienie jego stoją w tej zależności, jak przyczyna i skutek, wdanie się Boga jest pewnego rodzaju odwetem. Bóg wziął naszą stronę — a jeżeli Bóg z nami, któż może być przeciwko nam?

Oto jak się objaśnia tajemnica wcielenia. W ten sposób tłómaczy się boska zabiegliwość, iżby narzędzia naszej zguby zmieniły się w środki naszego ocalenia. Jednem słowem potrzeba było nowej Ewy, tak samo, jak i nowego Adama — inaczej odwet Boski nie byłby zupełnym wyzwoleniem naszym. Potrzeba było, aby ta nowa Ewa, w porządku odkupienia zajęła toż samo stanowisko — jakie zajmowała pierwsza niewiasta w zapoznaniu postanowień Boskich; jak „od niewiasty stał się początek grzechu i przez nią wszyscy umieramy — tak w dziele odrodzenia przez niewiastę powinno zacząć się nowe życie.“

Ale niech już będzie ostatnia antyteza, jakby uwieńczenie tych zestawień — wiedzmy, że jeżeli pierwsza Ewa w istocie jest *matką umarłych w Adamie*, to druga Ewa czyli Marya powinna być *w Jezusie Chrystusie matką żyjących*, gdyż przeznaczeniem matki życiem darzyć. Myśl tę czyli prawdę rozwijać będziemy dalej. W zakończeniu na teraz musimy zaznaczyć, że Boski porządek odkupienia rodzaju ludzkiego obejmował i duchowe macierzyństwo Maryi — a tradycya chrześcijańska ukazuje takowe, jako czyn dokonany. Potwierdza to historya naszego upadku, zapisana na pierwszych kartach historyi ludzkości.

(D. c. n.)

ks. Wł. F.



Dzieje klasztoru Jasnogórskiego,

KU CZCI I CHWALE BOGARODZICY OPOWIEDZIANE

przez

CZCICIELA MARYI.

Część druga:

KSIĄDZ PRZEOR AUGUSTYN KORDECKI

Umknęli Szwedy, zostawując po sobie w puściźnie dym na zgliszczach przy kościołku Ś-ej Barbary. Zostawili ogień, jakby groźbę, jak wspomnienie; rozżarzyli płomień, jakby dając tym sposobem znać, że powrócą rychle. Niebawem po ich odejściu, nadbiegli z miasta Częstochowy mieszczanie, dziwy rozpowiadając o nich, o ich groźbach. Skarżyli się też, że nieprzyjaciel srodze im dokuczył. Co nabrał na rzeź krów i cieląt po oborach, co nażabijał bydła, co narabował sprzętów, co naspijał gorzałek, miodu, piwa — to w stosunku do krótkiego czasu wydało się niesłychanem. Jak wszyscy niecni żołdacy, których wojna rozbestwia, Szwedzi, czego zabrać i spożytkować nie mogli, pozarzynali, powytaczali, żeby się po nich nie zostało. Nahuczeli, napodpalali i poszli, gnani przekleństwem skrzywdzonych. Przestrach po nich wzmógł się groźbami, jakie miotali. Opowiadali się bowiem jeno strażą przednią olbrzymiego wojska, które Miller prowadzi.

Miller zaś plondrował w Sieradzkiem i do niego właśnie przybiegł Weyhard, rozjątrzony niefortunną wyprawą, aby go naglić do marszu na Jasną-Górę. Zawiedziony w nadziei, że pierwszy zajrzy do skarbca częstochowskiego, chciał się zemścić na zakonnikach. Przybywszy do

kwatery Millera, dobrą minę ułożył, zaczął mu o Jasnej-Górze prawić, o skarbach klasztoru i chroniącej się w klasztorze szlachty, zapewniając, iż zdobyć to wszystko z wielką przyjdzie łatwością.

Miller był żołnierzem inszego niż Weyhard pokroju. Szwed, heretyk do szpiku kości, żołnierkę traktował jako rzemiosło zyskowne. Złupić jak najwięcej, użyć jak najrozkoszniej, zbogacić się, bez względu na środki — oto do czego dążył. Dróg nie wybierał, — ale też nie miał pozorów cnoty i słów pięknych w uściech, jak Weyhard. Żołnierz a gbur, prostak, szedł do celu przebojem, nie zważając na krew, którą rozlewał, śmiejąc się ze zbrodni żołdactwa, wieszając, mordując, rabując, a nie czując hańby, ani zgryzot sumienia. Większość Szwedów przeszła w ten sposób Polskę i do dziś dnia stare ich zamki świadczą, jak wściekle, bez sumienia i litości, kraj nasz rabowali. Grabili nietylko złoto, ale nawet dzieje nasze, — księgi i ślady naszego żywota.

Heretykiem będąc, Miller nietylko nie szanował świętości, ale, jakby się na nich mszcząc, kalał je skwapliwie, naigrawał się z nich, nie szczędził kościołów, ani ludzi Bogu poświęconych. Hulaka, przy kielichu i biesiadzie miewał dzikie popędy, a nie mogąc ścinać, rozbestwiony bił i wymyślnie dręczył, bawiąc się męczarnią. Mało mówił, śmiał się tylko, lub łajał. Zresztą prosty człowiek, pióra w ręku nie lubił, a gdy szło o traktowanie, o listy, chętnie się kim innym posługiwał. Sroższego człowieka nie było w wojsku szwedzkiem, zwłaszcza dla bezbronnych, bo nie myślał wcale o Karolu Gustawie i przysporzeniu orężem chwały ojczyźnie swojej, lecz szedł wszędzie, jak plaga, bez litości, zostawując po za sobą tylko pustki, krew i zgliszcza. Dla niego krwi przelew, jęk, prośba, łzy, były widokiem obojętnym, nie poruszały go wcale. Patrzył, słuchał spokojnie, bez wzdrygnięcia zabijał i zabijać pozwalał. Wierzył w Boga, ale wiara jego była powierzchowna. Nie lękał się Wiekuistego Sędzi, natomiast trwogą go przejmowały wszelkie gusła i zabobony. Ktoś mu szepnął wcześnie, że zakonnicy jasnogórscy są wielkimi czarownikami i może dlatego nie kwapił się na Jasną-Górę.

Weyhard zastał go w dworku szlacheckim, z którego gospodarza wyrzucono. Siedział Miller w onym dworku przed kominem, na którym ogień płonął wesoły. Spostrzegłszy Weyharda, zapytał:

— A, to hrabia? Cóż Jasna-Góra?

— Czeka na waszą miłość jenerale — odparł Weyhard.

— Jakto na mnie? Dlaczegożeś hrabia jej nie zajął...

— Nie bardzo nalegałem, a mnichy dziwnie uparci i zarozumiali. Chce im się snać naszych armat sprobować. Wprawdzie zadałem im strachu, ale ponieważ widzieli, że tylko polowe armatki posiadam, więc na kieł wzięli.

— Oho, to tak... — mruknął Miller. — Cóż teraz?

— Ano, udasz się chyba sam wasza miłość, z pułkownikiem Sadowskim, landgrafem heskim, także z oddziałami polskiemi Kalińskiego, Zbrożka, Krzeczowskiego, Komorowskiego i Kuklinowskiego

— Z tak znaczną siłą mam iść na marny kurnik mnisi?

— To dla większego postrachu.

— Dla postrachu? Czyżby się golone pałki bronić myślały?

— Trudno przewidzieć...

— Tak? A hrabiego jakże tam przyjęto?

— Z początku prośbami, w końcu... kulą...

Miller śmiać się zaczął.

— Do pioruna, kulą? To nie żarty! Proszę! snać zuchy jakieś z onych mnich... Warto ich rozumu nauczyć, ale chyba ową naukę trzeba na potem odłożyć.

— Nie czyń tego, jenerale, nie odkładaj — jął gorąco tłomaczyć Weyhard. — Może nas kto uprzedzić, a klasztor to królewski kąsek! Sreber po uszy brać, złota kupy ogromne, kleynotów, pereł, brylantów cebrami! Przytem win, miodów starych w lochach moc niewyczerpana, bodaj kąpać się w nich!

Staremu jenerałowi oczy się zaświeciły.

— Ba! obłów ponętny, ale cóż robić, kiedy naczelni komendanci armii: Wittemberg i Duglas, do Prus mi iść każą..

— Nic to, z Jasną-Górą uwiniem się w mig. Przyjdziem, hukniem i weźmiemy on kurnik.

— Hm... tak... Dlaczego jednak hrabia go nie zająłeś?

— Miałem już honor waszej miłości oswiadczyć, że nie upierałem się, a przytem dział oblężniczych nie miałem. Zresztą co ja, to nie wódz tak rozgłośnej sławy, jak wasza miłość...

— A cóż będzie, do kata, z Prusami?

— I tam zdążym...

— A nuż skarbiec wywieziony, ukryty?

— Z pewnością nie, ręczę za to. Gdyby nawet część jakąś mnisi ukryli, zawdy dla nas dosyć zostanie. Zważ też wasza miłość, że i ze szlachty, która się tam schroniła, dobrze pociągnąć można. Każdy da okup, jakiego zażądamy. Wittembergowi dość będzie posłać kilka posągów srebrnych, reszta nasza.

Podstępy Weyharda cel osiągnęły, — Miller się zryzykował i polecił wojsku gotować się w pochód na Jasną-Górę. Zanim jednak wszystkie oddziały się zgromadziły, zanim działa posprowadzano, kilka dni upłynąć musiało. Tymczasem Weyhard, szerząc postrach, wysłał z załogi w Krzepicach oddział żołdactwa do włości klasztornych na rabunek, nakazał zajmować bydło, palić wioski i folwarki, żeby pokazać, co czeka klasztor, w razie oporu.

Wieść o rabunku włości klasztornych przyjął przeor Kordecki z ubolewaniem, lecz nie zachwiała go ona w wytrwałości. Wysłał zaraz dwóch Ojców do Wittemberga, głównego wodza całej armii szwedzkiej, przebywającego wówczas w Krakowie, a to rzekomo celem otrzymania od niego listu bezpieczeństwa, w rzeczy zaś samej celem zbadania: co on uczynić z klasztorem zamierza? Posłowie wrócili niebawem, oznajmując, iż Wittemberg nie wzbrania się wydać listu bezpieczeństwa, lecz tylko do chwili dalszego postanowienia o klasztorze.

Odpowiedź zaniepokoiła przeora. Czuł on, że bronić się powinien, a jednak czuł też chwile, choć krótkie i przemijające, obawy. Na barkach jego spoczywała odpowiedzialność obrony miejsca świętego, całość tylu osób, tylu rodzin życie i losy. Chciał więc utwierdzić Ojców i wzmocnić siebie ich zdaniem o konieczności oporu; chciał usłyszeć myśl swoją, powtórzoną ustami innych. Nie wątpił o pomocy Bożej, obawiał się raczej ludzi, aby mu ich spółczucia, wytrwania i męstwa nie zabrakło. Szwed utrzymywał zdradziecko, że chce zająć Jasną-Górę dla jej samego bezpieczeństwa, zapewniał całość mienia klasztornego i swobodę nabożeństwa: lecz czy same zaręczenia owe nie były już upokarzające i groźne? Z drugiej strony, gdyby go nie wpuszczono do twierdzy, zagrażał zemstą nietylko klasztorowi, ale także ubogiemu ludowi jego włości. To wszystko przedstawiało się umysłowi przeora, ważyło się w nim; lecz silniej nad wszystko przemawiał głos wewnętrzny, który powtarzał:

— Walcz, a zwyciężysz!

Zwołał tedy na radę Ojców. Przybyli niezwłocznie, a tak spokojni, jak gdyby nic nie zagrażało klasztorowi. Twarze ich nie okazywały trwogi; tchnęło z nich męstwo pogodne i zapał pobożny. Odrazu zdanie ich wyczytał z twarzy ks. Kordecki. Wszakże, gdy zasiedli, odśpiewawszy hymn: „Przybądź Duchu Stworzycielu“, począł do nich mówić powolnie, wszystko im przedstawiając, co było za i przeciw obronie Jasnej-Góry i tak zakończył:

— Teraz zdania waszego czekam, bracia, każdy niech zbierze ducha, westchnie do Boga i wyrazi to, co On mu natchnie. Zdejmiecie wielki ciężar z ramion moich.

Najpierw odezwał się Ojciec Mielecki:

— Będziemy pod opieką Bożą bronili się i umrzemy w potrzebie, okażemy się godni stanowiska strażników miejsca świętego. Nie godzi się, raz ofiarowawszy życie swoje, cofać się, gdy Bóg zsyła próbę.

Wszyscy Ojcowie przywtórzyli głosowi temu, przeor tedy został utwierdzony w przekonaniu o konieczności stawiania czoła Szwedom. Pokrzepiony na duchu, ze zdwojoną pilnością krzątał się nad zabezpieczeniem klasztoru. Więc — jak sam nadmienia w swojej księdze —

ponieważ z lewej strony bramy głównej, na pochyłości opoki, której szczyt wieńczyły mury twierdzy klasztornej, znajdowało się wiele tandeciarskich kramów, w których wystawiane były na sprzedaż rozmaite przedmioty, przyczyniające się do pomnożenia pobożności wiernych—pielgrzymów, jako to: wizerunki Świętych, różańce, koronki, modlitewniki i tym podobne; oraz ponieważ kramy owe mogły ułatwić dostęp pod mury: przeto zburzono je, nie oszczędzając nawet budowli bliższych podnóża góry. Z kolei przeor wysłał znowu listy z prośbą o pomoc do króla Jana Kazimierza; ale ten, opuszczony przez swoich, sam bezbronny, oczekiwał na Śląsku, w Opolu, zmiany losu. Pisał następnie do najdzielniejszego rycerza owego czasu, do męża, który z nim razem zajął z biegiem lat w dziejach narodu miejsce chlubne, jako obrońca ojczyzny, to jest Stefana Czarnieckiego; lecz i ten nie mógł się na razie mierzyć z potęgą nieprzyjaciela, nietylko z powodu szczupłych sił, jakiemi rozporządzał, ale także dlatego, że zobowiązał się słowem stać spokojnie w Księstwie Siewierskiem i nie występować przeciwko Szwedom.

Zdawało się, że Opatrzność, pozbawiając Ojców jasnogórskich wszelkiej nadziei pomocy od tych, którzy w zwykłym rzeczy porządku najprędzej ich obronić mogli, chciała im okazać, że przejąwszy się głęboko myślą raz wypielęgnowaną, zgodnie i wytrwale działając, można, przy opiece Bożej, wielkich czynów z małemi środkami okazać. Duch też wyższy, nie ziemski, przejął dusze żarliwych obrońców domu Bogarodzicy, iż znaleźli siłę w sobie samych do odparcia potężnego wroga.

Niczem niezachwiany w świętem posłuszeństwie swojem przeor zwracał się nawet do znakomitych wodzów szwedzkich. „Więc — są jego słowa — pisał do hrabi Wrzeszczewicza, któremu też wizerunek Bogarodzicy, misternie na miedzi wykowany posłał, aby, gdy już wzgląd na zakonników, którym dotąd przyjaźń swoją okazywał, od przedsięwziętych kroków wstrzymać go nie może, -- aby cześć przynajmniej Bogarodzicy, którą za cudowne siebie przez Nią ocalenie świetnemi darami na Jasnej-Górze uczcił, zmieniła jego zamiary.

Napisał i do Sadowskiego, pułkownika króla szwedzkiego, prosząc go, aby nie narażał na zgubę miejsca świętego, słynnego ze czci i ślubów nawet królów i wodzów, ojczystych i cudzoziemskich; z pielgrzymek Czechów, Morawian, Ślązaków i innych sąsiednich ludów słowiańskiej mowy. Sadowski, więcej umiarkowany i łaskawy na katolików, chociaż sam luter, przeczytawszy list, wziął Ojców, którzy list przywieźli, na stronę i dał im ustnie taką radę:

— Trzeba wam, jak widzę, Ojcowie, wziąć na siebie ciężar gorącej wojny, tak atoli, aby rozdrażnieniem jakowem z waszej strony nie stał się nieprzyjaciel okrutniejszym. Podczas układów przedstawiajcie te

i owe warunki poddania się, dopóki takie podane nie będą, na którebyście przystać mogli.

Millerowi zaś radził Sadowski, aby klasztoru sam nie zdobywał.

— Cóż to bowiem — mówił — będzie za sława ze zdobycia klasztoru dla męża, którego waleczności potężne twierdze niegdyś uległy? A gdyby mnichy przemogli, jakąż hańbą u potomności imię okryjesz, jeżeli od nierycerskiego gminu pokonany zostaniesz.

Grafa Wrzeszczewicza nie zmiękczył ani podarek, ani prośba. Nadęty dumą i bluźnierstwami, szorstko odpowiedział przeorowi Kordeckiemu, — również brutalnie odpowiedział na list Stanisława Warszyckiego, kasztelana krakowskiego, pierwszego senatora Rzeczypospolitej, który go od bezbożnego czynu odwodził. Rzekł mianowicie:

— Niech sobie przyjdzie pan kasztelan i broni z całą swoją pobożnością miejsca świętego. Oto czeka tu na niego wojsko królewskie.

A Warszycki nigdy nie pominął sposobności wzbogacenia Jasnej-Góry darami, bronienia jej od zamachów nieprzyjaciół. I teraz zatem uważał za obowiązek nakłonić katolika do poniechania świętokradzkiego zamiaru zajęcia tego czci Bogarodzicy poświęconego miejsca, mniemając, że jego wysokie dostojeństwo wpływ pożądany wywrze na tego, który za dobrodziejstwo wypuszczenia mu w dzierżawę kopalni soli w Wieliczce, wdzięczność Polakom był winien, a co najważniejsza, sam był niegdyś protektorem i dobroczyńcą klasztoru. Dowiódł tego wyraźniej jeszcze kasztelan krakowski, jak go obchodzi cześć Pani Anielskiej, posyłając Szwedom 300 złotych na wykupienie bydła klasztornego, przez nich uprowadzonego; nadto przysłał klasztorowi dwanaście większych dział."

IV.

Straszną jest wojna — czytamy w powieści o Kordeckim Kraszewskiego—gdy wlokąc za sobą niezliczone klęski, kraj ogniem i mieczem przechodzi z dopuszczenia Bożego. Jak w życiu natury burza, tak w żywocie narodów wojna wszystko niszczy, druzgoce, obala, co na drodze spotka. Postrach i rozpacz rozrywają wtedy wszystkie węzły społeczne, walka rozbestwia braci, chciwość, rada bezkarnemu gwałtowi, rzuca się namiętnie na otaczające skarby, rozpusta szaleje, a słabi, bezbronni, których tylko osłaniało prawo i spokój, mrą tysiącem śmierci... I jak wiatr pędzi złomy gałęzi i liście z drzew oszarpane, tumany kurzu, a z niemi kwiaty i owoce, — tak bojaźń gna w zakąty niedostępne, w szałasy leśne, w warowne grody, do miast i kościołów, rozbitków

wojny, słabych i przelękłych. Lecz iluż to niema się dokąd schronić i nie może ustąpić przed nawałą, nie wie o niej, czeka, ociąga się, bo żal rodzinny kątek porzucić, bo straszno się rozstać z ukochaną strzechą, z zagonem swoim, z ludźmi, co się do nas przywiązali, bo wstyd jakoś ze spuszczoną głową za mur się schronić... Młody wówczas, gdy uczuje serce w sobie, przypasze oręż i pójdzie za sercem; ale starcy, ale kobiety i dzieci? Zawsze okropna wojna, a cóż dopiero tam, gdzie obcy żołdak, którego język, wiara, przesąd, nieprzyjacielem czyni, w ciągłym szale rozpasuje się na występki, jak bydlę i chluby w nich szuka.

Z wielu Polski okolic Szwed wygnał szlachtę, która też się garnęła do zamków, miast i klasztorów i rzucono im na łup majętności, nie mogąc ich obronić. Lud nawet w lasy biegł, gnając przed sobą bydło i owce, na wyspy wśród trzęsawisk, w zarośla i w góry się chroniąc, i obozując samotnie, codzień wysyłał na zwiady — czy jeszcze dwór stoi, czy wieś z dymem nie poszła? Z początku najazdu Karola Gustawa, trzymał Radziejowski, acz zdrajca, Szwedów, jak mógł, na ostrzejszem wędzidle, wmawiając im przez wodzów, by się po ludzku obchodzili z krajem; ale rychle, żołnierz, zebrany z różnych świata krańców, włóczęgi i rabusie, pastwić się nad krajem zaczęli, a ich przykład naśladował żołnierz regularny. Więc płonęły dwory i wioski, rżnięto stada bydła, łupiono kościoły i zamki zdobyte, brano okup i zakładników, a Tatarzyn gorszym nie byłby od Szweda. Szlachta sieradzka, wśród której plondrował Miller, wszystka się rozbiegła, gdzie który mógł. Puste dworki zapełnili Szwedzi, opalone parkany, porozwalane ściany, porąbane słupy, pospasane zasiewy, stratowane zboża, których skosić nie miano czasu w jesieni, świadczyły o nieludzkości wroga. Gdzieniegdzie smutny wieśniak wlókł się drogą, poglądając z rozpaczą niemą, osłupiałem okiem, na pustynię, z wesołego uczynioną kąta i powtarzał zadumany:

— Koniec świata! Koniec świata!

Tak się przedstawiały okolice Częstochowy, ba! nawet wielki szmat Polski i Litwy, kiedy Miller, z namowy Weyharda, wyruszał pod mury jasnogórskiego klasztoru, w którym coraz liczniej zbierała się szlachta, tuląc się pod płaszcz gwiaździsty Bożej Matki. Kordecki przed nikim bramy nie zamykał, a gdy go pytano: czy wpuszczać do twierdzy, odpowiadał:

— Wszystkich do nas, od nas — nikogo!

Rozporządzenie to czasu wojny powodowała konieczność; trza się było tak obwarować, żeby nieprzyjaciel nie wiedział, co się dzieje na Jasnej-Górze, którą pogardliwie *kurnikiem* nazywał.

Zbiegów w klasztorze umieszczano, jak można: wozy, konie ludzie— tłoczyli się po wszystkich podwórcach. Codziennie przybiegali gońcy z najdziwniejszemi nowinami. Przeor o każdym kroku Millera był po-

wiadomiony i chociaż siły szwedzkie w dziesięcioro przesadzono, on się ich wcale nie lękał. Przyjaźni sąsiedzi nadsyłali klasztorowi, korzystając z chwili wolnej, zapasy żywności ogromne, broń i ludzi.

Ojcowie, chociaż wszyscy jednomyślnie postanowili się bronić, w miarę zbliżania się niebezpieczeństwa, widząc trwogę szlachty, która się do klasztoru chroniła, owiani bojaźnią ogólną, widocznie tracili serca. Przeor Kordecki z litością poglądał na przestraszonych, bo w jego duszy nie postało zwątpienie, owszem, — w miarę jak się groźne zbierały tłumy, nabierał ducha, ożywiał się, zdawał się w dwójnasób nabywać powagi i przezorności hetmańskiej. Dni całe spędzał w podwórcach lub na murach, noce na modlitwie i czujnej straży, ustawicznie czynny, zawsze wesół, zawsze pogodnego oblicza, roztaczał dokoła siebie ufność, spokój, pociechę, a wskazując wciąż na niebo, podnosząc myśli do cudu, kazał ufać i wierzyć. Modlitwa była jego wielką zbroją bojową, nią, jak żelazem, opancerzał piersi słabszych; dźwigając umysły, zagrzewając serca, od ziemskich trosk wiódł je do śmiałego wejrzenia w przyszłość pogodną. Zimna rachuba nie miała do niego przystępu, olbrzymiemi rozmiary oceniał posiłki niebieskie, potęgę zapału, natchnienia, wiary. Widok jego mimowoli ufność i wytrwanie budził nawet w najsłabszych. Gdy się oddalił, szemrano i stękano, obawiano się i przepowiadano zgubę; lecz zaledwie się ukazał, przemówił, odezwał, uśmiechnął,—bojaźń, jako mgła, pierzchała cudownie, wstępowało w serce męstwo i nadzieja.

Korzystano w klasztorze z chwili swobodnej jeszcze, by się potężniej obwarować i przygotować do boju, ruch panował nieustanny dniem i nocą. Ojcowie Paulini jednak nie opuszczali żadnej z modlitw, do których ich zobowiązywała reguła, chór północny i jutrznie z największą odbywały się ścisłością.

— Módlmy się — powtarzał przeor Kordecki — żołnierz ostrzy broń przed wojną; my zaostrzajmy ducha, który jest bronią naszą. Módlmy się i czuwajmy.

Tu godzi się przypomnieć, że zakon Ojców Paulinów, nazwany od Ś-go Pawła, pierwszego pustelnika, regułę wielce ostrą posiadał. Przypominanie ustawiczne ostatniej godziny śmierci panowała nad całem życiem zakonnika. Niektóre klasztory na szkaplerzu białym nosiły nawet godło śmierci: wyrytą głowę trupią, czego jednak w Polsce nie zachowywano. Ale to godło śmierci powtarzało się często w kościele i w klasztorze, uderzało oczy co chwila. Posty ostre, włosiennice, praca ręczna, niegdyś pustelników, a dziś zakonników przygotowywały do zgonu. W refektarzu, pod wielkim krzyżem, który zajmował ścianę główną, naprzeciwko miejsca przeora, leżała trupia głowa, którą wszys-

cy członkowie zgromadzenia całowali, zanim do stołu zasiedli. Lektor, pobłogosławiwszy stół, dodawał:

— Pamiętajcie na godzinę śmierci, a nigdy nie dopuścicie się złego.

W każdej celi, na klęczniku pod krucyfiksem, widniało to przypomnienie śmierci. Gdy przyjmowano do zakonu nowego członka, w czasie obłóczyn, kładziono go na pokrytą całunem trumnę, a chór zakonników śpiewał nad nim:

— „Panie! nie pomnij grzechów jego w godzinę strasznego sądu!“

Groźny, ponury psalm żałobny oddzielał go na wieki od świata, przenosił w to pośrednie stanowisko swobody i zrzeczenia się siebie, na którem żywot cały był tylko przygotowaniem do śmierci. Potem kolejno zbliżali się wszyscy zakonnicy do nowicyusza i kropiąc go wodą święconą, powtarzali:

— Bracie! umarłeś dla świata, żyjesz dla Boga...

Wreszcie śpiewano *Libera* (psalm śpiewany przy trumnie) i modlono się, jak za umarłego:

— „Panie! nakłoń uszy Twoje...“

Ze skrzyżowanemi na piersiach rękoma, powstawał zakonnik z trumny, jakoby nowym człowiekiem, bo wielka, niepojęta jest siła modlitwy.

Paulini w XVII stuleciu jeszcze zachowywali główne przepisy Ś-go Augustyna. Modlitwy nocne, włosiennice i paski, dyscypliny, posty, spowiadanie chorych, grzebanie umarłych—nieustannie wprawiały ich w to zaparcie się ciała, które jest najpiękniejszem zwycięstwem na ziemi, bo ze wszystkich najtrudniejszem. Kordecki, pilnujący reguły ze ścisłością i pod tym względem przewyższający wszystkich poprzedników swoich, od czasu, jak stał podwakroć na czele zgromadzenia, podnosił je na duchu i umacniał w poświęceniu. Natchniony, jako oni wielcy mężowie, którzy pierwsi byli założycielami zgromadzeń pustelniczych i zakonnych, owiany pobożnością, wyzuty, rzec można, z potrzeb ciała, które podbił duszy, ani sobie, ani innym nie przebaczał. Lecz surowość jego była ojcowska i łagodna, nikogo milej i serdeczniej nad niego nie słuchano, bo proroczem wejrzeniem zawsze przeniknął w głąb człowieka, i uczucie, myśl skłaniającą się ku światu, niby czujny ogrodnik gałąź pochyloną, troskliwą podnosił ręką.

Przygotowania obronne, wspierane modlitwą żarliwą, postępowały z zapałem i pośpiechem. Modlitwa usposabiała ludzi do poświęceń, wznosiła ich po nad ziemię. Wszystko potężniało i rosło w ołzawionem wejrzeniu pobożnych, a strach odlatywał, jak dym. Mimo to, trzeba było największej pilności, czuwania i pracy nieustannej, by utrzymać

męstwo w trzodce zebranej bojaźnią. Szlachta, mieszczanie siali popłoch za lada wieścią, a przeor chwast ten wciąż z serc wyrywać musiał.

Po 12 listopada, przybył na Jasną-Górę z klasztoru Ojców Paulinów w Wieluniu Brat Jacek Rudnicki, oznajmiając, iż Miller, z całym obozem do Prus przygotowanym i z dziewiętnastoma wielkiemi działami, ku Częstochowie wyruszył, oraz, że za tydzień najpóźniej pod murami warowni jasnogórskiej stanie. Ciągnęły z nim pułki: Weyharda, landgrafa heskiego, Sadowskiego, nadto dwa oddziały polskie: Seweryna Kalińskiego i Jana Zbrożka. Blizkie niebezpieczeństwo znów zatrwożyło umysły na Jasnej-Górze, zwłaszcza, gdy dowiedziano się, że przeor wieluński w silnych wyrazach malował potęgę nieprzyjaciela i wymownie doradzał skłonić się do umowy z nim. Atoli przeor Kordecki, pewny pomocy Królowej Niebios, uspokoił obawy. Upomniawszy na radzie zakonników, że obowiązkiem ich jest życie poświęcić dla czci Maryi, od której tyle łask i dobrodziejstw naród polski doznał, zapowiedział na dzień 18 listopada, to jest na dzień, w którym mieli się zjawić Szwedzi, nabożeństwo uroczyste.

Jakoż dnia tego (czwartek wtedy wypadł) kościół i kaplica przedstawiały się dziwnie pięknie. Myśl męczeństwa, jak jasna aureola, opromieniała głowy starców, dzieci, niewiast i żołnierzy, w przybytku Bożym zgromadzonych. Gorące były modły wszystkich, jak zwykle w chwili niebezpieczeństwa. Na niektórych twarzach osiadł przestrach i łzy z pod powiek wyciskał. Jedni krzyżem leżeli, inni klęczeli w pokorze, inni siedzieli na ziemi w odrętwieniu. Wśród ciszy wznosił się z chóru śpiew zakonników, śpiew chwały i, jak wstęga, rozwijał się splotami jasnemi. W powietrzu brzmiała muzyka, kadzidła sinemi kłębami leciały pod sklepienia, a szmer modlitwy, z westchnieniem i łkaniem zmięszany, w przestankach śpiewu szumiał, jak las stary o wschodzie słońca. Naraz przeor Kordecki wszedł na kazalnicę i ozwał się słowami Pisma Ś-go:

— „Lepiej jest, abyśmy umarli na wojnie, niż żebyśmy patrzyli na złe ludu naszego i Świętych. A jako będzie wola na niebie, niechaj się tak stanie.“

Nie był to mówca owych czasów, napuszony i wyuczony, ale natchniony kapłan, którego wymowa płynęła z serca strumieniem wezbranym. To też, gdy zagrzawszy oziębłych, głos wznosił do Matki Najświętszej z błagalną modlitwą, do ran krwawych Jej Syna, wszechmocmość Bożą, wielkość i potęgę Pana nad pany malując, schylone głowy dźwignęły się i zatętniały serca. Żołnierze uczuli się mężnymi przeciwko tysiącom, starcy odmłodnieli odwagą, siła klasztoru wydała się oczom wszystkich olbrzymią, bo ją zwiększyły zastępy Aniołów, bo nadzieja napełniła dusze zwątpiałych.

Po Mszy nastąpiły Suplikacye, te wołania strapionych, tak wymowne, a tak proste, których najwyszukańsze nie zastąpią modlitwy. I rozbrzmiał kościół błaganiem:

— Święty Boże! Święty Mocny! Święty a Nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami!

Z całego nabożeństwa to najgoręcej odśpiewane zostało.

Z kolei przeor wziął z ołtarza Przenajświętszy Sakrament, rozstąpił się lud, panowie Zamoyski i Czarniecki ujęli celebransa pod rękę, procesya ruszyła ku drzwiom i falą wypłynęła z kościoła.

W powolnym pochodzi, ze śpiewem, wśród bicia dzwonów i uroczystej wiernych modlitwy, obniósł przeor dokoła murów monstrancyę, zakreślając nią jakby czarowny pas, który miał bronić Jasnej-Góry. Spotykając po drodze działa, z paszczami zwróconemi ku pustej jeszcze okolicy, gromady broni, kul i bomb, zatrzymywał się i błogosławił te narzędzia śmierci imieniem Pana Zastępów.

Piękny to był widok i obrzęd wspaniały, któremu słońce jesienne, wychylając się z za chmur, towarzyszyło promieniem jasności, również zdając się błogosławić wierze tej garści ludu, która w ciasnych murach miała się bronić stokroć potężniejszemu nieprzyjacielowi. Uroczystość ta, podobnie jak mowa przeora, ducha oblężonych podniosła.

(D. c. n.)



Z DZIEJÓW KLASZTORU JASNOGÓRSKIEGO.



Święty Hilarion,

który prowadził najakuratniej życie według reguły Świętego Pawła, do czego został przygotowany przez Świętego Antoniego. Regułę tę wprowadził do życia zakonnego w Palestynie.

(Kopia z obrazu, znajdującego się w jednym z kurytarzy klasztoru Jasnogórskiego.)

KSIĘGA CUDÓW,

doznanych za sprawą Najświętszej Panienki Częstochowskiej.

W rozdziale czwartym części siódmej dzieła swego, ks. Nieszporkowicz wylicza cudowne przywrócenia wzroku, za sprawą Panienki Jasnogórskiej, dokonane w domach osób ociemniałych. Więc w roku 1592 łaski takiej dostąpił Wojciech z Pisarzewic; roku 1595 — Małgorzata z Myślenic (nie widziała lat dwanaście); roku 1596 — Jan Pierzchała z Wrzeszyna (był zaćmiony przez trzynaście miesięcy); r. 1597 — Sebastyan Krawętka z Goszczynina i Joachimowa Wołowiczowa z Przemyśla; r. 1598 — córeczka kilkoletnia Jana z Malina, od urodzenia ślepa; r. 1609 — Anna Rogozowa z Namysłowa śląskiego i pięcioletni Jakub, syn Wojciecha Garnysza z Wolborza (ten wpadł do dołu z wapnem, gdzie całkiem się w żrącej brei zanurzył; wyciągnięto go już z wyżartemi oczyma i na szczęt poparzonem ciałem; ofiarowany na Jasną-Górę, nietylko wzrok odzyskał, ale szwanków z oparzelizny się pozbył); roku 1613 — Katarzyna Niesiołkowa z Pleszowa; r. 1614 — Wojciech Kański z Jędrzejowa (ten oraz kulawizny się pozbył); r. 1623 — Katarzyna Łowicka i Krystyna Świerkotowa z Rzeszowa; r. 1624 — Maciej Kotek z Błonia; r. 1626 — Anna, córka Błażeja i Agnieszki z Bydgoszczy; r. 1633 — Arnold Czech, malarz ze Śląska; r. 1636 — dziecię Michała Ożgi, ziemskiego pisarza lwowskiego; r. 1637 — Jan Białd, szlachcic z powiatu krasnostawskiego; r. 1638 — Jan Jędrzejowski; r. 1639 — Jadwiga, córeczka Stanisława i Zofii Słodownikow; r. 1639 — Jakub Tucholski z Prus.

W rozdziale piątym części siódmej dzieła, ks. Nieszporkowicz mówi o uzdrowieniach cudownych głuchoty i niemoty, dokonanych w kaplicy Bogarodzicy na Jasnej-Górze:

R. 1587. Jan Uniejowski, uczeń szkoły łowickiej, przez lat 14 był głuchoniemym. Po upływie tego czasu, udał się z kompanią do Częstochowy. W kaplicy cudownego wizerunku upadł krzyżem i serdecznie błagał Najświętszą Panienkę o łaskę. Powstał zupełnie uzdrowiony i głośno wielbił Panią Anielską.

R. 1600. Zofia Rychlikówna, z Orzycy pod Krakowem, w ciężkim, nieutulonym płaczu lamentując po matce, która była w czasie pożaru zgorzała, wpadła w chorobę i zaniemówiła. Z choroby wyszła, ale niemową. Dowiedziawszy się, iż ludzie z Koszyczek wybierają się na Jasną-Górę, wybrała się i ona. Najświętsza Panna w kaplicy Swojej język jej rozwiązała.

R. 1621. Jan Baynuk z Mińska, tknięty paraliżem, mowę utracił i przez trzy lata niemym pozostawał, dopiero na Jasnej-Górze, przed obrazem cudownym, mowę odzyskał.

R. 1628 odzyskał przed cudownym obrazem mowę i słuch Mikołaj Boski, szlachcic z powiatu czernichowskiego; w r. 1640 — Wawrzyniec Przyłęcki, szlachcic z pod Opoczna; r. 1646 — odzyskał mowę Jerzy Kulczycki, student krakowski.

A oto druga kategorya niemych i głuchych, uzdrowionych cudownie bądź w drodze, bądź w domu, lecz zamierzających odbyć pielgrzymkę na Jasną-Górę:

R. 1548. Marcin Lichański, szlachcic, który był w czasie choroby zaniemówił, pięć niedziel miał język związany. Wikary parafii, ks. Mikołaj Kościszewski, ofiarował go na Jasną-Górę i wnet, tego samego dnia, niemota ustąpiła.

R. 1598. Grzegorz Porządkowski, mieszczanin z Jaworowa, stekiem chorób różnych obłożony, wzrok i słuch zupełnie utracił. Cztery niedziele w tak opłakanym stanie pozostawał, widząc zaś, że środki ludzkie nic mu nie pomagają, zwrócił się z błaganiem do Orędowniczki Jasnogórskiej, która też mu mowę i zmysł widzenia przywrócić raczyła.

R. 1600, Najświętsza Panienka przywraca słuch Annie Zarzewskiej, która przez dwa lata nic zgoła nie słyszała, tak, że ją Głuszką zwano.

R. 1622 odzyskuje mowę, za sprawą Najświętszej Panny, po czteroletniej niemocie, Agnieszka Grodzicka z Rawy.

R. 1625. Katarzyna Kotulina, z Rzążewa pod Krakowem, ciężką robotą podczas żniwa i upałów słońca spracowana, rozchorowała się w polu. Leżała długo w niemocy, poczem w głuchotę wpadła i rok cały nic nie słyszała. Komornica, którą u siebie trzymała, poradziła jej,

za pomocą znaków, iżby na Jasną-Górę się ofiarowała. Uczyniła to Kotulina i rychle dobrze słyszeć poczęła.

R. 1628 mowę po trzyletniej niemocie, paraliżem spowodowanej, odzyskał, za sprawą Panienki, Marcin Szostaczek z Dobrzycy, oraz Jadwiga Bogdańska, szlachcianka, która również przez trzy lata nie mówiła.

R. 1636, Najświętsza Panna przywróciła mowę Jadwidze Piechowskiej z Kazimierza krakowskiego, a r. 1644 słuch Annie Śmieszkowej z Olewina pod Wieluniem; ta ostatnia przez 5 lat była głuchą.

Szereg łask, doznanych za sprawą Panienki Jasnogórskiej przez chromych i na ręce ułomnych, rozpoczyna Elżbieta Wilkanowska, starościanka ostrołęcka. Ta w r. 1555 wybiła sobie nogę tak fatalnie, że biodro wytrącone tylko na skórze się trzymało. Lekarze, po przeróżnych próbach, orzekli, iż tego szwanku nikt nie uleczy. Wówczas babka Elżbiety, Anna Iłowska, ofiarowała nieboraczkę na Jasną-Górę. Zaraz też szwank ustępować począł i rychle Elżbieta zupełnie wydobrzała.

R. 1567 w księgach klasztornych zapisano zeznanie następujące: „Ja, Jadwiga Wilkanowska, kasztelanka płocka, starościna ciechanowska, wyznawam i oddaję cześć Panu Bogu i Najświętszej Pannie, iż będąc od lat dziesięciu na rękę ułomną, skorom to miejsce Najświętszej Panny nawiedziła, natychmiast poczęłam ręką władać tak, że teraz czuję wielką pomoc.“

R. 1614. Rafał Żelazowski, mieszczanin z Kowna, odmroziwszy ręce i nogi, leżał czas jakiś zupełnie bezwładny, bolami targany. Razu pewnego odwiedzili go sąsiedzi, udający się na Jasną-Górą i namawiać go poczęli, aby wraz z nimi pielgrzymkę odbył.

— Czemu Najświętszej Panny nie wzywasz? — tak mu radzili. — Jeno się ofiaruj tam i obiecuj pójść z nami, a ozdrowiejesz.

Żelazowski niemocą się tłomaczył i daleką drogą, „sąsiedzi jednak, snać od Boga natchnieni, wezmą go gwałtem, z łóżka posadzą, w szaty obloką, laskę do ręki dadzą i wspierając go, z domu prowadzą. Cudowna sprawa Boska i Najświętszej Panny! Tylko co z domu za próg wychylą się z nim, aż tegoż momentu na nogi i ręce uzdrowiony, już się więcej nie wracał do domu, ale pieszo poszedł, z podziwieniem wszystkich, patrzących na to.“

R. 1617, Pani Anielska uzdrowiła rotmistrza Mieleszkę z długiej bezwładności nóg, na którą chorobę on rotmistrz daremnie po obcych nawet krajach szukał zaradzenia.

W następnych latach uzdrowieni zostali chromi: r. 1623 — Anna Kaliska z Krakowa i Apolonia z Torunia; r. 1624 — Maciej Śliwa z Piądzic; r. 1626 — Marcin Szyszkowski, biskup krakowski; r. 1627 — Bar-

tłomiej Żochowski z pod Ciechanowa; r. 1633 — Krzysztof Wiktorek z Nowego Sącza.

R. 1634. Marcin Świszczyk z Kaliny, „idąc do lasu po drwa z próżnym wozem, gdy się konie rozbiegały, chciał je przytrzymać, aż go rozwora zachwyciwszy, nogę mu u kostki zdruzgotała. Leżał bez pamięci długo, omal nie skonał z bolu. Znaleziono go, do domu wzięto i ratowano, lecz cyrulicy nic podołać nie mogli, gdyż oderwana od golenia stopa wisiała na skórze.“ Ofiarował się tedy na Jasną-Górę, a rychle sam na to miejsce święte podążył, cudownie uzdrowiony.

R. 1636, do akt klasztornych podyktował zeznanie ksiądz Stanisław Święcicki, proboszcz miasteczka Wolkowata, w połockiem województwie, na Polesiu: „Wiadomo czynię, że sławetni Łukasz Wojciechowski i Anastazya, małżonkowie, będąc oboje złożeni chorobą na nogi, przez półtora lata ani postąpić nie mogąc, uciekali się do Boga i Najświętszej Panny prosili o przyczynę, aby ich z tak długiej niemocy wyzwolić raczyła. A że się ślubem obowiązali na Jasną-Górę, przeto przyszli do zdrowia dobrego i tę świętą drogę odprawują, za których świadectwo to daję.“

R. 1639, uzdrowiony został z długiej chromoty Bartłomiej Lenczyński z Krośna.

R. 1641. Jędrzej podlaski, szlachcic, „chorując ciężko i długo na nogę, już się miał jej pozbyć, byle jeszcze mógł przy życiu ostawać, co jednak niepewne było, bo od bolów i zepsowania gangrena już się w nią wdała była tak, iż ciało z niej opadło. Cyrulik jeden, z porady wespół z drugim, podjął się nogę tę aż do kolana upiłować i już na sześćset złotych zgodził się. Nie przyszło jednak do tego, bo chory uląkłszy się niepewnej pomocy, a pewnych i nieznośnych bolów i samej zatem śmierci, prosił Najświętszej Maryi Panny, aby go od tego uchowała, a choć powoli wyzdrowieć pozwoliła, dlaczego obiecał drogę do Częstochowy. Odtąd zaraz lepiej się mieć począł i, jak sobie życzył, powoli wzmagał, chodząc o kuli przez trzy lata. Ale gdy i to przez tak długi czas sprzykrzył sobie, tęskniąc a pragnąc do Częstochowy, udał się z płaczem na modlitwę do Najświętszej Panny. Wtem zdrzemnął się i widząc jasność wielką, słyszał głos:

— Wstań, a idź do kościoła!

Dziwna rzecz! Ocknąwszy się, wstał zdrowym, ani więcej sparcia kulą, ani laską nie używał.

Tenże dziecię konające ofiarowawszy do Częstochowy, zaraz od konania i choroby uwolnione odebrał. Tenże małżonkę swoją Annę, przez 12 niedziel schorzałą i blizką śmierci, za ofiarowaniem na Jasną-Górę, cudownie uzdrowioną uprosił.“

R 1643. Ksiądz Adam Roszkowicz, Mansyonarz Ś-go Jana i kapelan fundacyi Leśniowskich w kościele krakowskim Panny Maryi, z czteroletniej chromoty, za sprawą Pani Anielskiej uzdrowiony został.

W części ósmej księgi swojej, ks. Nieszporkowicz wymienia, pomiędzy innemi, szereg „niewinnych i niesłusznie obwinionych, skazanych do więzienia, bądź na śmierć“, których łaska Najświętszej Panny oczyściła wobec ludzi i od kary zbawiła. Czytamy tedy pod rokiem 1423: „Kiedy husytowie grasowali na Śląsku, przymuszając także katolików do onego łotrostwa, zabrali w Raciborzu mieszczanina. Nie mogli go jednak do łotrostwa namówić, a tem rozwścieczeni, obwiesili go. Żona, nie widząc długo męża, nie mogąc znaleźć o nim śladu, udała się z prośbą o odszukanie go do Panienki Jasnogórskiej. Tego samego wieczora, żołnierz jakiś zbrojny, przechodząc podle szubienicy, odciął z niej nieszczęsnego mieszczanina. Upadł na ziemię odcięty, do siebie przyszedł, przedarł się przez obóz husytów i szczęśliwie do domu się dostawszy, opowiedział żonie przytrafunek. Ta mu wzajem opowiedziała, iż ocalał snać za łaską Najświętszej Panienki, bo go Onej poleciła. Jakoż oboje wybrali się niezwłocznie z dziękczynieniem i zeznaniem na Jasną-Górę.“

R. 1552. Dorota Strużelina z Korobelic, pod Sochaczewem, posądzona przez pana swego niesłusznie o kradzież, usprawidliwić się z zarzutu winy nie mogła. Pan tedy, bez sądu i dowodów, „bez rozumu i sumienia, kazał ją obwiesić, na piekielną prawdy i niewinności krzywdę, samemu Bogu dla zemsty zachowaną. Po obwieszeniu niebogi, krewniacy i przyjaciele, przez żal i wstyd ciężki, chcąc ją z oczu ludzkich do ziemi gdzie schować, w nocy, po drabinie przystąpiwszy, gdy ją chcą zdejmować z szubienicy, aż żyjącą znajdują. Od cudu i radości już nie czując żalu, z urżniętego stryczka wprost ją do domu zaprowadzili. Tam im powiedziała:

— Idąc na śmierć, polecałam niewinność moją Najświętszej Pannie, wzywałam obrony Jej z Jasnej-Góry i łaski dostąpiłam.

Niebawem ocalona udała się na Jasną.Górę, aby Pani Anielskiej podziękować.“

R. 1597. Lambert Wreyder, sekretarz króla Zygmunta III, oskarżony niewinnie, jakoby miał tajemnice stanu sprzedawać cesarzowi Maksymilianowi III, został wtrącony do więzienia. Trzy lata przesiedział w zamknięciu, poczem na śmierć go skazano. Zrozpaczony, błagał Najświętszą Pannę, iżby sędziów oświeciła. Jakoż niewinność jego na jaw wyszła, oczyszczono go z zarzutów i na wolność puszczono.

R. 1608. Jakób i Dorota małżonkowie Michalscy, z pod Żywca, pomówieni o zamiar otrucia swego dziedzica, zostali bez badania i sądu do lochu wtrąceni. „Nie mieli sposobności bronić niewinności swojej, gdyż dziedzic wolał słuchać fałszywych oskarżycieli, a ich wcale. Co

gorsza, zwołał on pan nierozumny a srogi guślarzów, którzy wróżyli i guślili na szkodę niewinnych. Wierzył dziedzic guślarzom i kazał posądzonych sądzić urzędowi swemu w Żywcu. Jakim był pan, takim okazał się i sąd. Michalscy skazani zostali na śmierć. Przed wykonaniem wyroku, pozwolono im pomodlić się, błagali tedy Panienki Jasnogórskiej o ratunek. I oto nagle opamiętał się pan, oskarżenie odwołał, dekret skasował, posądzonych uwolnił i wynagrodził.“

R. 1609. Walenty Uszkowicz, z miasteczka Dolska, za Poznaniem, udał się na Jasną-Górę, aby Najświętszej Panience podziękować za uchronienie go oraz całej rodziny od zarazy morowej. W drodze pochwycili go ludzie, szukający jakiegoś złoczyńcy; ponieważ nie znali poszukiwanego łotra, uroiło im się, że jest nim właśnie Uszkowicz. Okuli go przeto w kajdany i do lochu wtrącili. W lochu Uszkowicz modlił się żarliwie do Pani Anielskiej, błagał Ją o ratunek. Jakoż kajdany z niego spadły, drzwi zamczyste rozwarły się, on zaś to widząc, opuścił loch. Nie na długo jednak, bo ucieczkę spostrzeżono, puszczono się w pogoń i znów się w lochu znalazł. Ponownie tedy zanosił błagania do Bogarodzicy i ponownie na wolność się wydostał. Tym razem oskarżyciele, rozważając cudowne po dwakroć jego uwolnienie, dokładnie go zbadali, a badanie wykazało ich lekkomyślną omyłkę.

(D. c. n.)





Święty Franciszek Ksawery uroczyście wprowadzony na dwór królewski w Fucheo, stolicy królestwa Bungo.

W 300-ną rocznicę

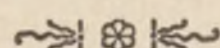
(16 listopada 1603 — 1903 roku).

UKOCHANYM IWANOWICZANOM

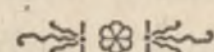
poświęca Autor.

W Iwanowicach przed trzema wiekami,
Śród niezamożnej lecz zacnej rodziny,
Której nazwiska żaden brud nie plami,
Dziecięcia zbożnie obchodzono chrzciny.
W dniu tym — z Kordeckich — Marcina, Doroty —
Zrodził się synek, witany radośnie;
W skromnym ich domku zabłysł promień złoty,
Więc w dniu jesieni było, jak o wiośnie.
Były to czasy sprzymierzenia z wiarą,
Gdy Bogu w sercach stawiano ołtarze;
A więc z przybysza — tradycyą prastarą,
Co chrzcić dziecinę w dniu urodzin każe —
Tegoż dnia zmyto pierworodne zmazy,
Imię Klemensa dając w życia drogi.
Świątyni starej witały go głazy,
Proboszcz dziecinie wróżył żywot błogi.
Ksiądz Ossyakowski zlał nań łaski Boże;
Znając rodziców, życzył im pociechy:
„Niech Pan je wiedzie przez życia bezdroże,
Niech będzie dumą rodzicielskiej strzechy,

Niechaj krajowi odda się w usługi;
Łaską wspierany Panny z Jasnej-Góry,
Niechaj cnotami słynie na wiek długi,
Obrońca ludu — w czas wojen ponury!...“
Kapłan wciąż, jakby miał jasnowidzenie,
Tuląc niemowlę, wzrok unosił w niebo.
— „Panie, przecz płyną te potworne cienie?...
Szarańcza ksyka nad ojczystą glebą?...
Żołdactwo wraże cały kraj zalewa!...
Ach! Jasnej-Górze grozi tłuszcza szwedzka!...
Węże pocisków!... Kto „Hosanna“ śpiewa?...
Ha!... kraj ocalon — sprawą tego dziecka!...“
Chrzestni, zarówno jak dziecka rodzice,
Słuchają księdza, wtórząc: „Panie!... Panie!...“
Aż, na te słodkie widzeń obietnice,
Gdy kapłan zamilkł, szepcą: „Niech się stanie!...“



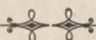
I tak się stało: mieszczańskie pacholę
Z swych Iwanowic poszło w świat szeroki,
Z święceń kapłańskich chryzmatem na czole
Łask Bożych bliźnim zlewało potoki.
A w dniu pogromu kapłan i wódz prawy
Piersią osłonił prastarą świątynię,
I kraj oczyścił z wojennej kurzawy,
I jak bohater po wsze wieki słynie!...



W Iwanowicach, w odwiecznym kościele,
Tablica skromna czci pamięć ich Syna.
Sporo w niej treści, chociaż słów niewiele.
Dotychczas jest to pamiątka jedyna...
Próżnobyś pytał: „Gdzie Kordeckich chata?
Gdzie groby ojców?...“ Pleśń wieków je skryła,
Lecz pamięć wdzięczna kwieciem ich oplata,
A pamięć taka — to największa siła!...
Zapytaj dziecię: „Kto Kordecki?“ — powie —
I — „Tu się rodził!“ z dumą rzuci wielką.
Zapytaj starca — uczci w pięknej mowie;
Toż jest z dziewczęciem, toż i z rodzicielką...

W ubogim gródku krzątają się ludzie,
By Kordeckiemu wznieść pomnik wspaniały,
O wojny szwedzkiej coby wspomniał cudzie
I późnym wiekom niósł wspomnienie chwały...
Zbożne zamiary w trzechsetną rocznicę
Najtrwalsze sobie zyskują podłoże,
Co ku pomocy ma Bogarodzicę.
Zamiarom takim szczęść, Boże! szczęść, Boże!...

Karol Hoffman.



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

Dla umocnienia twego, czytelniku, podajemy te pełne prawdy wielkie i święte przykłady stałości i bohaterstwa chrześcijańskiego. Czytaj, rozważaj i wznoś serce do Boga, źródła wszelkiego dobra i szczęścia.

W Japonii.

Państwo japońskie, dziś głośne ze względu na przyswojenie sobie cywilizacyi europejskiej, zawdzięcza pierwszy posiew nauki chrześcijańskiej, Świętemu Franciszkowi Ksaweremu, który dnia 15 sierpnia 1549 roku wylądował w towarzystwie dwóch zakonników i trzech neofitów w japońskiej zatoce Kagoszima. Gorące słowa i cuda tego Świętego sprawiły, iż dzika, barbarzyńska ludność ówczesnej Japonii gromadnie nawracać się zaczęła na wiarę Chrystusową. Kilka tysięcy Japończyków różnego stanu i wieku przyjęło wówczas Chrzest Święty.

Ulękli się kapłani (bonzowie) japońscy i zawezwali Świętego Franciszka Ksawerego przed króla krainy Bungo na dysputę religijną.

Spełnił ich żądanie mąż Święty i stanął przed królem pogan, trzymając na piersiach krzyż, godło zbawienia.

Bonzowie, czczący bałwany i różne zjawiska przyrody, a nawet niektóre zwierzęta, o Bogu zaś wiekuistym, wszechmocnym, jedynym nic niewiedzący, zaraz z początku rozprawy uczuli wyższość Świętego i umilkli.

— Nie widzę nic zdrożnego w słowach tego męża — rzekł król Bungo, odprawiając z niczem kapłanów pogańskich.

Jakoż w rok potem Święty Franciszek Ksawery, umierając na wyspie Sancyan, zostawił świetnie rozwijającą się misyę japońską.

W roku 1582 zbudowano w Japonii 250 kościołów, a wiernych było przeszło 200,000. Pogaństwo z dniem każdym traciło na sile, zdawało się tajać, jak lody zimowe pod wiosennemi promieniami słońca.



Święty Franciszek Ksawery przekonywa o prawdzie Bożej bonzów (kapłanów) japońskich w obecności króla.

Trzech japońskich królów przyjęło naukę Chrystusową. Uroczyste poselstwo do Papieża Grzegorza XIII z wyrazem synowskiej uległości dla stolicy świętej zapowiadało rychłe nawrócenie się całej tej pięknej krainy azyatyckiej.

Aliści szatan, ten wróg światła i szczęścia ludzkiego, podniósł łeb i za pomocą bonzów rozpoczął dzieło zniszczenia.

Zmieniło się położenie. Cesarz japoński Tajkozama, podburzony przez kapłanów pogańskich, nakazał prześladowanie chrześcijan. Piękne dzieło Świętego Franciszka Ksawerego krwią męczeńską się zrumieniło

Już w roku 1587 zabroniono surowo Japończykom wyznawać wiarę chrześcijańską, a misyonarzy wydalono z kraju, pozostawiając część tylko w mieście Nagasaki. Pomimo prześladowania kościół pogańsk liczył podówczas 300,000 wiernych.

Nie mogli tego ścierpieć bonzowie i knuli intrygi, podżegali lud, roznosili zarzewie srogiego prześladowania wszędy, gdzie tylko krzyż zajaśniał.

Cesarz Tajkozama, podmówiony przez bonzów, zagroził karą śmierci wszystkim wyznawcom Chrystusa. W dniu 30 grudnia 1596 roku padło ofiarą męczeńską dziewięciu kapłanów katolickich i siedmnastu wiernych Japończyków, wśród których troje niewinnych dziatek.

Od roku 1627 prześladowanie wzmaga się jeszcze i sroży w sposób najokrutniejszy.

Wzdryga się serce, gdy się czyta wiarogodne ofiary męczarń i katuszy, zadanych tym niezgiętym wyznawcom Chrystusa na dalekim Wschodzie. Męczarnie te były zadawane z szatańską iście złośliwością. Wysilano się na nowe i coraz straszliwsze tortury, aby przemódz silne serca chrześcijan i zmusić ich do wyrzeczenia się Umiłowanego Chrystusa. Przypiekano zwolna rozpalonem żelazem pojedyńcze członki ciała, palono ofiary powolnym ogniem, w celu przedłużenia katuszy; wieszano nieszczęsne ofiary za nogi, zanurzano w plugawych bagnach, lano do ust rozpalony ołów, rzucano ciała męczenników na lód i mrożono.

W roku 1640 władze japońskie wydały surowy rozkaz:

„Dopóki słońce oświecać będzie tę ziemię, niechaj się żaden chrześcijanin nie odważy przybyć do Japonii. Niech wiedzą wszyscy, że choćby nawet sam Bóg chrześcijański przekroczył ten zakaz i zjawił się na wybrzeżach naszych, pewnieby śmiercią przypłacił zuchwalstwo swoje.“

Ten bluźnierczy rozkaz głoszono wszędzie, przyczem zamknięto wszystkie porty dla Europejczyków.

W te tak straszliwe czasy dla chrześcijan w Japonii cudem jedynie przez dwa przeszło wieki utrzymała się tam wiara święta. Choć tysiące wiernych poniosło śmierć męczeńską na krzyżu lub w torturach, pozostali, kryjąc się przed okrutnymi poganami, chrzcili dzieci swoje i potajemnie, jak mogli i umieli, uczyli katechizmu. Wówczas to wysilali się misyonarze, aby dojść do ukrywających się w podziemiach i leśnych kryjówkach wiernych wyznawców Chrystusa i udzielać im

pociech sakramentalnych. Niejeden z nich przypłacił tę świętą gorliwość okrutną śmiercią męczeńską.

W roku 1642 udało się w tym celu z Makao, nadbrzeżnego miasta chińskiego, pięciu kapłanów-misyonarzy, a między nimi i rodak nasz, Polak, **Wojciech Męciński.** Atoli zaledwie rozpoczęli swą błogosławio-



Święty Franciszek Ksawery głosi Ewangelię świętą Japończykom.

ną działalność na ziemi japońskiej, gdy szpiedzy, przez bonzów opłaceni, wyśledzili ich kryjówki i w ręce żołnierzy wydali. Gubernator miasta Nagasaki wtrącić ich kazał do więzienia i przez siedm miesięcy najokrutniej ich katował, zmuszając do wyparcia się Chrystusa. Najsrożej

męczono ich, wlewając im w usta ogromną ilość wody, której znieść nie byli w stanie, a mękę tę ponawiano co drugi dzień. Najwymyślniejsze tortury nie mogły zachwiać ich stałości, czem rozgniewany do wściekłości gubernator Nagasaki wydał na nich wyrok śmierci. Zawieszono świętych męczenników głową na dół, zanurzając w brudnym rowie i tak zostawiono aż do skonania, poczem martwe już ciała spalono.

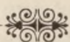
W ten sposób zginął w imię Chrystusa śmiercią męczeńską i wspomniany powyżej kapłan świętobliwy, rodak nasz — Wojciech Męciński.

Odznaczał się ten mąż Chrystusów już w latach dziecięcych szczególną pobożnością. Gdy odbywał nauki w szkołach w Lublinie, (rodem był z Kurozwęk w Lubelskiem) dochodziły go często wieści o bohaterskiej, podziwu godnej wytrwałości chrześcijan japońskich. Wieści te na wrażliwy umysł młodzieńca ogromne wywarły wrażenie. Los nieszczęsnych męczenników za wiarę na dalekim Wschodzie był przedmiotem jego rozmów, czci i podziwu. W przedsięwzięciu swojem napotkał na stanowczy opór ze strony matki, gdyż ojciec wcześnie go odumarł. Ta, dowiedziawszy się o jego zamiarze, bezwłocznie wysłała go do szkół krakowskich, w nadziei, że wpływ młodzieży tamtejszej zwróci na inne tory myśli młodzieńca. Jakoż póki żyła matka, Wojciech szanował jej wolę, ale po śmierci jej, która w lat kilka po jego przejściu do szkół krakowskich nastąpiła, postanowił niezłomnie poświęcić się służbie Bożej. Zrzeka się więc dziedzictwa na rzecz brata Stanisława, udaje się do Rzymu, wstępuje do nowicyatu Towarzystwa Jezusowego i tam rozpoczyna pracę zakônną.

Pozwolenie udania się na misyę japońską otrzymał dopiero po wielu usilnych prośbach. Z jakiem uczuciem popłynął za morza, daje świadectwo list jego, pisany w roku 1632 do prowincyała polskiego, naonczas ojca Kaspra Dróżbickiego. Czytamy tam:

„Cierpienie dla Chrystusa zawiera w sobie dziwną jakąś i tajemniczą słodycz. Módl się też, drogi ojcze, aby trudy, niewygody, cierpienia i krzyże dla Chrystusa podjęte, nie odstępowały mnie nigdy aż do tej chwili, kiedy dla Boga mego śmierć męczeńską poniosę."

Jakoż udał się do prześladowanych i wśród nich palmę męczeńską otrzymał. Cześć wieczna jego pamięci i pamięci tych wszystkich męczenników, którzy użyźnili dla wiary krwią swoją dusze pogan japońskich. Dziś wolno tam wyznawać wiarę chrześcijańską, misyonarzami opiekują się rządy europejskie.



Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.



Misyonarz Wojciech Męciński, Polak, z czterema towarzyszami umęczony w Japonii za wiarę 23 marca 1643 r.

ŚWIĘCI PATRONOWIE I PATRONKI

opowieści religijne

zebrane przez

MICHAŁA SYNORADZKIEGO.

II

Nauczyło doświadczenie, że z Tatarami w polu otwartem wszelki opór był daremny. Przecież miał Henryk Pobożny niemałe zastępy pod Lignicą; liczniejsze o wiele hufy zgromadził król węgierski Bela, nad rzeką Saja, chcąc Batemu zagrodzić drogę na zachód: obydwaj jednak zostali zwyciężeni, a głowa Henryka, zatknięta na tatarskiej dzidzie, srogiem napełniła przerażeniem nawet w murach zamków obronnych pozostających rycerzy chrześcijańskich. Insi mocarze europejscy nie ważyli się pójść za przykładem Henryka i Beli. Na dworze cesarza niemieckiego pocieszano się, twierdząc, że niemieckiej to broni obawa skłoniła pogan do wrócenia na wschód, ale nikt w takie tłumaczenie nie wierzył i wolał w Opatrzności oraz łasce Bożej dopatrywać ocalenia od dalszego rozpostarcia się na zachód klęsk i mordów tatarskich.

Urok pewien — urok grozy i postrachu otaczał dzikich najeźdźców. Wierzono mocno, że wszystko jest dla nich możebne; że gdy jeno zechcą, opanują całą Europę. Wobec strasznego od płomieni i posoki czerwono zabarwionego tła, na którem wyobraźnia ludzka uprzytomniała sobie żywo chwile pierwszego pobytu Tatarów, blakły inne ponure widoki, malały przedmioty dawniejszego postrachu. Zapominano, że obok Tatarów istnieją jeszcze inni łupieżcy; że gdy najstraszniejsi ustąpią, pozostaną owi bliżsi, nie tak potężni wprawdzie, lecz równie dokuczliwi poganie: Prusowie, Jaćwież, Litwa. Z tymi jednak był pol-

ski wojownik oswojony; nie biło mu szybciej serce, gdy wyruszał walczyć z nadniemeńskim gościem nieproszonym, bądź z jego sąsiady, lub gdy ścigał uchodzącego z łupieżą niemiłego a natrętnego przybysza. Przecież udawało mu się nieraz zdobycz odzyskać, łupieżcę pogromić i wrócić z chwałą do zagrody ojczystej. Trzeba również zważyć, że napady Prusów, Jaćwieży i Litwy ograniczały się przeważnie do Mazowsza i Ziemi Lubelskiej, ten zaś wzgląd nie dozwalał im przypisywać właściwej wagi i znaczenia. Mieszkaniec Wielkopolski lub Śląska wiedział dobrze, iż nie dosięgną go zagony litewskie, a zadowolony z własnego bezpieczeństwa, mało się troszczył o nieszczęście mieszkańców innych dzielnic. Ale Tatarzyn, chociaż wszystkiego doszczętnie nie zniszczył, chociaż stosunkowo mniejszą tylko nawiedził część Polski,—mógł wszakże w każdej chwili zapomnienie swoje strasznie powetować; czekano go też wszędzie, drżano przed nim przez lata całe i lat dziesiątki, co chwila nowego, straszniejszego niż poprzednie spodziewając się napadu. Oto dlaczego w Polsce i na Węgrzech z bojaźliwą słuchano ciekawością o przeklętym poganinie wieści, a lada pogłoska, najmniejszy poszept o ruchach wojsk tatarskich, wywoływały przerażenie i starunek o pomoc w sąsiednich państwach.

Znaki na ziemi i niebie, wojnę zwiastujące, podnieciły umysły w całej Polsce, a wszędzie jednomyślnie mówiono, że nikogo innego jeno Tatarów, wskazywać mogą. Wszędzie też umacniano grody, klasztory, wyszukiwano miejsc, dla ochrony rzeczy kosztownych. Kasztelan Godzisław Sulima w Zawichoście nie próżnował. Zawdy był czujnym, ale teraz czujność podwoił. Lecz czas upływał, znaki nie ustępowały, a o Tatarach nie było jakoś słychać. Owa niepewność srodze mu dojadała, to też powtarzał:

— Razby już okazało się, co się ma stać.

Na kilka dni przed Ś-tym Andrzejem, niepewność owa rozproszoną została. Wezwano starego rycerza do księżnej-opatki, do świętej pani Salomei. Udał się natychmiast, niemało zdumiony wezwaniem, bo święta pani, od życia światowego stroniąca i całkiem w modlitwie zatopiona, nierada ludzi widywała. Przyjęty został również niezwłocznie. Święta pani łaskawie go powitała, lecz nie odrazu wyłuszczyła, co do niego ma. Siedziała na prostej ławie, kamieniami, dla umartwienia, wysłanej, z rękoma modlitewnie złożonemi i oczyma w jakąś dalekość nieodgadnioną wpatrzonemi. Tak siedząc, milczała dość długo. Twarz jej pociągła, o rysach drobnych, o wyrazie słodyczy anielskiej, o cerze niemal przezroczystej, pożółkłej nieco, wymizerowana była przez posty; czoło wysokie, marszczki zorały mnogie, na skroniach żyłki niebieskie widniały; wargi wązkie blade były, jakby bez krwi. Z całej jej postaci wyniosłej, szczupłej, wiotkiej powaga dziwna biła, spokój, łagodność słodycz,

świętość. Każdy, na nią pojrzawszy, przyznawał, iż nie z tego świata była.

Kasztelan milczenia przerywać nie śmiał, oczekiwał nieledwie dech wstrzymując, wzroku nie mogąc oderwać od oczu świętej pani, wciąż przed się zapatrzonych. Wreszcie księżna-opatka westchnęła, krzyż, który zwisał na jej piersiach ucałowała i przemówiła głosem smętliwym, ale bardzo wdzięcznym:

— Pomoc Boża z nami!

— Zawdy o nią w pacierzu proszę.

— Teraz wam, Sulimo mój miły, będzie ona potrzebniejszą, niż w innym czasie. Dni kary za grzechy wypełnią się już rychle...

Znów westchnęła z i większą jeszcze smętliwością mówiła, niemal szeptem:

— Będą to dni kary i próby zarazem... Gorze ludziom, jeżeli ich nie przetrwają i do Boga się nie nawrócą szczerem sercem. Bóg, Ojciec Najdobrotliwszy, miłości dla nas jest pełen, za co Mu się wypłacamy sromotnie, bo niewdzięcznością, bo grzechem. Cierpliw jest nad wysłowienie, lecz i cierpliwość ma granicę, a myśmy, obdarzeni przez Niego wszelkiemi dobrodziejstwy, granice przekroczyli. Sprawiedliwości przeto stać się zadość musi...

Łzami zaszły jasne źrenice świętej pani.

— Sulimo miły — podjęła, przemilczawszy nieco — poczt ochronny mi dasz. Z mniszeczkami mojemi do Krakowa podążyć mi trzeba.

Kasztelan duże oczy zrobił.

— Do Krakowa? Cóż was, miłościwa pani, do onej ze świętobliwemi panienkami podróży skłania? — zapytał.

— Skłania nieodmiennie—potwierdziła księżna-opatka z naciskiem. — I wiedz, że do Zawichosta już nie powrócim.

— A! pani, cóżeśmy ci zawinili, iż nas opuszczasz? Tyś puklerzem naszym, ostoją, skarbem... — mówił gorąco kasztelan.

— Nie godzi mi się chwalbom uszu dawać — przerwała księżna-opatka. — Grzesznica jestem, niewiasta ułomności pełna...

— Święta jesteś, pani miłościwa...

— Tylko niegodna służebnica Pańska.

— Wszelako dlaczego Zawichost ma takiego pokrzywdzenia doznać?

— Służebnicy obowiązkiem Pana rozkazów słuchać, tak też czynię. Do Krakowa teraz z mniszeczkami i wszelkiem dobrem klasztornem się schronię, a gdy nawała przejdzie, w inszem zaciszu chwalić Boga z niemi będę.

— Nawała? — powtórzył kasztelan, nie mogąc zrozumieć myśli księżnej-opatki.

— Tatarzy — odparła święta pani. — Maluczko, a zjawią się znów oni na ziemi polskiej, z mordem i pożogą.

— Wasza miłość wieść otrzymała? Od kogo? Chyba od miłościwego pana z Krakowa?

— Z nieba ją otrzymałam.

Zadrżał kasztelan, mrowie na skórze uczuł.

— Zali Zawichost łupem ich się stanie? — zapytał.

— Miasto z dymem puszczą, do klasztoru się dostaną, ale zamek się ostoi.

— Boże miłosierny! — jęknął Sulima, ręce załamując.

— Rychle potem znów inszy wróg zdradą do Zawichosta się dostanie, ja tedy z mniszeczkami inszego schronienia szukać winnam. O nic więcej nie pytaj, Sulimo miły, jeno mi poczt przygotuj na jutro. A teraz... Bożej opiece cię polecam. Silnym bądź, na duchu nie upadej, bo taka wola Boża.

— Stanie się wedle rozkazu — rzekł kasztelan, zaczem do kolan świętej pani się uniżył, dłonie jej ucałował kornie, ona zaś krzyż mu nad głową nakreśliła.

Nazajutrz poczt silny odprowadzał księżnę-opatkę do Krakowa, a nietylko mniszeczki za swoją przewodniczką i dobrodziejką dążyły, lecz także mnóstwo mieszczan, bo Sulima nie zaniechał ostrzedz wszystkich mieszkańców Zawichosta, iż święta pani niebieskie objawienie miała o blizkiej klęsce. Pchnął nadto Sulima z tą wiadomością po włościach okolicznych, po grodach i miastach, a taka wieść piorunem się rozchodziła.

Jakoż sprawdziła się przepowiednia świętej pani. Tatarzy rychle się ukazali, prowadzeni tym razem przez Buronda. Towarzyszyli mu książęta chrześcijańscy, na wschodnich kresach Europy mieszkający. Ci szli przelewać krew chrześcijanską pod przymusem, boć los chciał, iżby hołdownikami dziczy pogańskiej przez czas pewien zostawali.

Ziemia Lubelska stała otworem — więc Lublin pierwszy padł ofiarą nowego najazdu okrutnej dziczy. Smutno zapisał się Ś-ty Andrzej tego roku w dziejach onego miasta. Nieszczęśni mieszkańcy, zamiast ze skupionem nabożeństwem obchodzić ostatnie tygodnie przed Narodzeniem Pańskiem; zamiast w dobrze zasłużonym odpoczynku zimowym zaczerpnąć nowych sił do wiosennej roku przyszłego pracy: musieli chronić się po borach i bagnach, z jednej do drugiej uciekać przed ścigającym Tatarem kryjówki. Z Lublina podążyli poganie do Zawichosta, a wkrótce cała Małopolska przedstawiała widok przerażający od zgliszcz i zniszczenia. O stawieniu oporu, o walce, nikt nie myślał. Nie dlatego, żeby brakło mężnych pomiędzy książętami polskimi i nie dlatego, żeby polskie szyki bojowe dzielnością się nie odznaczały: ale co mogła kilku,

lub w najlepszym razie, kilkunastutysiączna garstka, przeciwko kilkakrotnie liczniejszym Tatarom?

Bo nie można przedewszystkiem winić z tego powodu Bolesława Wstydliwego ani księcia wielkopolskiego. Pomiędzy ówczesnymi Piastowiczami oni byli najdzielniejsi i najprzezorniejsi. Nie trzeba również wierzyć, iżby przed samem wkroczeniem pogan ukończona wyprawa na Ziemię Łęczycką była powodem niemożności podjęcia z najezdną dziczą walki. Ponieważ nie przyszło do wyprawy krzyżowej, w którejby uczestniczyły zastępy czeskie, węgierskie, krzyżackie i wszystkich książąt polskich, tedy nic zgoła innego nie pozostawało Bolesławowi Wstydliwemu do czynienia, jak cierpliwie przeczekać nawałę, chroniąc, o ile możności, cenniejsze od dostatków życie swoich poddanych przed niechybną, w razie zmierzenia się z pogany w otwartem polu, zagładą.

A było w Małopolsce, jak zresztą w całej Polsce, podostatkiem gęsto zarosłych lasów i ciemnych dąbrów, chociaż bezpieczniejsze, niż w gęstwinach, schronisko ludność znajdowała w grodach książęcych lub w warowniejszych klasztorach, w których, z po za okopów i palisad, skutecznie można było odeprzeć zakusy wroga. Jedynem tedy hasłem wobec zbliżającego się Tatarzyna, było nawoływanie do śpiesznej ucieczki. Innego i Bolesław nie mógł dać przykładu, jak zamknięcia się w silnym grodzie lub schronienia się w wolnym od napastnika kraju. Sam w Sieradzu postanowił przeczekać nawałę, skąd łatwo mógł dostać się do bardzo blizkiej Wielkopolski, gdyby pohańcy ku Sieradzowi pomknęli. I tak też uczynił.

W Zawichoście stało się, jak święta pani mówiła: pohańcy miasto spalili, klasztor opuszczony splondrowali, ale zamek ostał. Widząc, że nie mają co tu popasać, rozdzielili się na dwa główne oddziały: jeden miał zostać pod Sandomierzem, aby zdobyć miasto i gród; przeznaczeniem drugiego było — splondrować północną część kraju, zwłaszcza złupić gęsto rozsiane tam klasztory. Więc rozpoczęli pohańce wielką obławę na ludzi, obławę, — podczas której myśliwi z zawziętą gorliwością śledzą i wynajdują ukrytego w nieprzystępnem na pozór pustkowiu zbiega-ofiarę, którą chyba śmierć z ich rąk drapieżnych uwolni.

Obławę taką prowadzili pohańce z szatańską przebiegłością, nie oszczędzając domostw ani chudoby. Czego nie mogli zabrać z sobą, palili lub w inny sposób niszczyli. To też z daleka już oznajmiły krzyki pędzonych, niby stada owiec, mieszkańców poblizkich wiosek, Ojcom Cystersom wąchockim, że dni ich już policzone; że jedynie w modlitwie czerpać mogą siłę do spotkania się z poganami. Niebawem też korytarze klasztoru zalała rozjuszona tłuszcza, przedarła się do kościoła, dobrała do śpichlerzów, stodół, obór, a złupiwszy wszystko, co do złupienia było, wywarła na bezbronnych zakonnikach srogość bezprzykładną

Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.



Błogosławiony Karol Spinola i ośmiu innych kapłanów z Towarzystwa Jezusowego, umęczonych za wiarę w Japonii w r. 1622.

podpaliła siedzibę sług Bożych, poczem pośpieszyła przenieść niczem niezapokojoną żądzę mordów i grabieży do Sulejowa. Zadrżały z przerażenia ziemie Łęczycka i Kujawska, zdawało się bowiem, że teraz w nich pohańce krwawą gospodarkę rozpoczną. Szczęściem mniemanie zawiodło, bo z Sulejowa dzicz zwróciła się na południe, aby się połączyć z nadciągającemi z pod Sandomierza siłami.

Siły owe z Sandomierzem już skończyły, a nikt się nie spodziewał, iż gród ten doznał tak srogiej klęski. Bolesław bowiem nadzwyczaj starannie Sandomierz obwarował, jakby przeczuwając, że Tatarzy tę ważną twierdzę, wbrew zwyczajowi swemu, zawzięcie oblegać będą. Poganie istotnie postanowili Sandomierza dobyć, a sami nie znając sztuki oblężniczej, zmusili książąt chrześcijańskich, których jako rzekomych sprzymierzeńców z sobą prowadzili, iżby oni oblężeniem kierowali. Dobywanie grodu rozpoczęto od zasypywania oblężonych chmurami strzał, którzy się na wałach ukazywali. W Sandomierzu jednak istniał nietylko gród warowny, ale także miasto otaczały wały ochronne, Tatarzy przeto musieli wznieść szersze jeszcze okopy, aby się ochronić od pocisków sandomierzan. Po tych przygotowaniach wstępnych, które trwały dni kilkanaście, jęli szturmować taranami. Przez cztery doby tłukły one machiny wojenne, bez przerwy — dniem i nocą, w obwarowania sandomierskie, z po za których nikt wyzierać nie mógł, bo Tatarzy szyli strzałami ustawicznie a gęsto. Z tego też powodu o naprawie wyłomów, taranami wyszczerbionych, mowy być nie mogło.

Dnia czwartego zaczęli już Tatarzy przygotowywać się do ostatecznego szturmu i drabiny przystawiać; dwóch wdarło się po nich z chorągwią do miasta i nuż wylękłą, a ze strachu nieprzytomną ludność siec i kłuć na wsze strony. Jakiś ledwie uzbrojony chudopachołek, rozpaczą zdjęty, rzucił się na jednego z nich i trupem położył, ale w tej chwili drugi poganin zabiegł mu z tyłu, źgnął oszczepem i na miejscu ubił. Niebawem nalazło się więcej pogan za miejskiem obwałowaniem, czem przerażeni mieszczanie, jęli w dzikim popłochu do grodu się cisnąć. Sandomierski zamek grodowy był oddzielony od miasta rowem głębokim, a dostać się do niego można było jeno po wązkim, zwodzonym moście. Most ów w tej chwili opuszczono, ale ludzie, trwogą zaślepieni, gwałtownie tłoczyć się zaczęli, a nie mogąc na nim się pomieścić, jak snopy zboża padali do rowu, który też wkrótce po brzegi ich ciałami wypełniony został. W tym również czasie wszczął się pożar: zajął się dach drewnianego kościoła i słomą kryte budynki, płomienie więc nadały rozpaczliwemu położeniu większej jeszcze grozy pozór.

Zaiste — była to chwila straszliwa. Zdawało się, że dzień Sądu Ostatniego nastał, że świat ginie. Ludność i załoga zamkowa na szczęt potracili głowy... Z grodu można się było jeszcze bronić, ale wielki

napływ ludu kazał obawiać się rychłego wyczerpania żywności, nadto ogólne zwątpienie osłabiało zapał i chęć do dalszego oporu. Wówczas to Tatarzy chytrą posłali zamkniętym w grodzie sandomierzanom radę, aby się poddali, oni zaś, oceniając ich uległość, życiem ich darują. Nieszczęśni sandomierzanie uwierzyli słowom podstępnym i niezwłocznie jęli się do opuszczenia zamku gotować. Może nie wszyscy ufali w zmiłowanie pogan, lecz na świecie tak się dzieje, że gdy nadmiar nieszczęścia przywali kogo ogromem swoim, a wszelka nadzieja jest już zwątpiałemu sercu nieprzystępna, to często człowieka chwyta taka nieczułość, że o jednem tylko myśli, jednego pragnie: doczekać się co prędzej rozstrzygnięcia losu, chociażby kosztem większego jeszcze nieszczęścia. Rozsądek ustępuje przed głosem niepewnego jakiegoś przeczucia, które idącego za niem najczęściej zawodzi... Bądź co bądź, sandomierzanie postanowili, pod wpływem rozpaczy, wyjść bez broni z po za obwarowań swoich i oddać się na łaskę lub niełaskę pohańców.

Nad wyraz wzruszający widok przedstawiał ciasny obręb grodu, gdy rozpoczęły się przygotowania do niezwykłego, iście pogrzebowego pochodu. Wszyscy kapłani, wszyscy zakonnicy przystąpili do spełniania duchownych swoich obowiązków, bo każdy chciał przed stanowczym krokiem pogodzić się z własnem sumieniem i z bliźnimi, pragnął przyjąć Ciało i Krew Pańską może po raz ostatni... Ludzie wszelkiego stanu i wieku, mężczyźni i niewiasty, cisnęli się do kościoła, aby się oczyścić z grzechu i kapłańskie otrzymać rozgrzeszenie. Ledwie starczyło duchowieństwa na zadowolenie wszystkich. Wreszcie wydobyto krzyże, przywdziano szaty świąteczne i ruszył pochód uroczysty z grodu, wśród ogólnego płaczu, wśród przejmujących jęków. Dzieci na rękach służebnych, poprzedzały rodziców, a to dlatego, by ułagodzić widokiem bezbronności swojej srogie serca pohańców.

(D. c. n.)



W szwedzkich szponach.

Opowieść religijna z czasów oblężenia klasztoru Jasnogórskiego przez Szwedów.

ROZDZIAŁ XVIII.

Straż, wysłana przez wodza szwedzkiego, otoczyła dom pana Jacka Brzuchańskiego, wtargnęła do wnętrza, ale poszukiwanego nie znalazła.

Wystraszona służba i obie panie Brzuchańskie, matka i córka, w modlitwie szukały ucieczki i obrony. Wszyscy klęczeli przed obrazem Matki Boskiej, przed którym płonęła lampka olejna.

Widać modlitwa błagalna i obraz Bogarodzicy onieśmielili żołdactwo szwedzkie, bo przez chwilę stali, wahając się, co uczynić.

Wreszcie jeden, starszy już latami, Niemiec—luter, więc za nic sobie mający obraz Przenajświętszej, brutalnie szarpnął za ramię panią Jackową i groźnie zapytał:

— Hejże, gadaj mi zaraz, czarownico, gdzie gospodarz tego domu?...

Mówił po polsku, łamanem śląskiem narzeczem.

Pani Jacentowa ze łzami w oczach spojrzała na okalające ją żołdactwo i odrzekła:

— Bogiem się świadczę, że niema mojego męża w domu.

— A syn wasz także po za domem?

— I syna w domu niema... We łzach błagam Przenajświętszą Panienkę, aby zdrowo wrócił. Nie wiem, gdzie Grześ mój obecnie się obraca...

Mruknął gniewnie Niemiec i kazał domostwo przeszukać.

Daremnie jednak szukano: pani Jackowa prawdę mówiła.



Męczeństwo za wiarę księży: Emanuela Borges, Józefa Reomuj
i Ignacego Kiudo w Nagasaki, w Japonii, w r. 1638.

Wtem wbiegł do izby Wukosz.

Był zadyszany, blady.

— Trafiłem na ślad, — krzyknął — stary Brzuchański wyjechał konno, uzbrojony... Pod mury klasztorne na siwej szkapie pocłapał...

— Głupiś! — odrzekł gniewnie Niemiec — to był żołnierz kwarciany... żołnierz z oddziałów polskich... głupiś łbie cygański!...

— To był on... Jacek Brzuchański — wołał Cygan — on i syn jego umieją się przebierać... Oni w jednej skórze nie chodzą...

Niemiec zaklął.

— Pod klasztor, mówisz, a toć tam ubiją go nasze straże.

Roześmiał się Wukosz.

— Ubiją swojego? — zapytał, szydersko się uśmiechając — toć-że wy, świetny wojaku, nie jesteście bystrego rozumu... mówię wam, że przebrał się za kwarcianego, żołnierza polskiego w służbie szwedzkiej... rozumiecie?...

Niemiec widać zrozumiał, bo nagle wyniósł się z izby.

— Gonić tego zbója! — krzyczał — łapać!... bić!... zabić! — wrzeszczał.

— Aj! — zawołał Wukosz, szarpiąc Niemca za ramię — nie bić! nie zabijać!... Toć żywcem macie go przed ekscelencyę jenerała przyprowadzić!... Rozumiecie?... żywcem!...

Niemiec znów zaklął i zmienił rozkaz.

— Jabym go utłukł — mruknął gniewnie — po co żywym go brać!...

— Jenerał chce go mieć żywego!... Już on go grzecznie zapyta, po co się przebiera i pod klasztor podjeżdża...

Jechali drogą kamienistą, od kościoła Ś-ej Barbary do klasztoru prowadzącą.

Noc była pochmurna, ale od śniegu, który obficie za dnia pokrył ziemię, widno było tak, że się swobodnie rozróżniało przedmioty.

O kilkadziesiąt kroków przed nimi istotnie cwałował żołnierz jakiś na dużej siwej szkapie.

— To on!... Jacek Brzuchański!... wiezie różne pisma, aby je rzucić księżom w klasztorze!... — woła Cygan i przynaglając konia, popędził naprzód, a za nim cały oddział zbrojnej straży.

Przestrzeń między ściganym a ścigającymi zmniejszała się z każdą chwilą.

Naraz koń Wukosza rzucił się w bok gwałtownie, zjeżył grzywę, a za nim poszły inne.

Niespodziana-ta przeszkoda spłoszyła żołdaków.

Z głębokiego rowu przydrożnego podniosła się jakaś dziwaczna postać.

Silny podmuch wichru rozwiał jej łachmany, długi kosztur zachwiał się w ręku.

— Kto jesteś? — zapytał gromko Niemiec, poskramiając rwącego się w bok wierzchowca.

Zamiast odpowiedzi dał się słyszeć przykry śmiech, jakim się śmieją obłąkani, a później rozległ się dźwięczny śpiew na cześć Maryi, Królowej Niebios.

— Kto jesteś? — krzyknął znowu Niemiec i jakiś lęk zabobonny chwycił go za serce.

— Precz z drogi, maro! — wrzasnął ktoś inny ze straży — ustąp z drogi, bo kula przeszyje cię, jak złe sito!...

— Biada wam, jeśli mi krzywdę zrobicie! — dał się słyszeć głos owej dziwacznej postaci... Niosę pismo z klasztoru do dowódzcy waszego, jenerała Müllera!... Na odpowiedź mam zaczekać!... Słyszycie?...

Odsłoniła twarz bladą, do trupiej podobną, z po za żebraczych łachmanów.

— Jestem Konstancya — żebraczka, zbieram kule szwedzkie w rowach i na okopach... Znacie mnie?...

— Nie znamy i bodajbyśmy nie byli poznali!—mruknął Niemiec— idź swoją drogą... Konie nasze boją się twego kosztura i łachmanów... Bodaj cię licho wzięło! opóźniłaś nasz pościg!...

— Nie ustąpię, panowie rycerze! — odrzekła Konstancya — musicie mnie zaprowadzić do jasnego jenerała Müllera... List od księdza przeora mam do niego... Słyszycie?... list...

Niemiec klął na opóźnienie.

Jadący przodem pan Jacek Brzuchański znikł w mroku nocnym. Z pewnością był już u podnóża klasztoru...

Gdy z Konstancyą żebraczką zbrojni wysłańcy Müllera spór wiodą, zatrzymani w pogoni niespodziewanem zjawieniem się tej dziwnej niewiasty, samotny jeździec, którego ścigali cwałował coraz to szybciej pod mury Jasnej-Góry.

Był to istotnie imć pan Jacek Brzuchański.

Miał na sobie strój żołnierza z pułków polskich, więc straże szwedzkie, przy pierwszych okopach stojące, przepuściły go wolno.

Już dwa razy w ten sposób oddawał usługi oblężonemu klasztorowi.

A ważnych wiadomości tym razem miał imć pan Jacek udzielić oblężonym.

Modląc się zcicha, po raz dziesiąty powtarzając: „Zdrowaś Marya“ i „Pod Twoją obronę“, podjechał pod wał, tuż przy bramie głównej klasztoru położony.

Straż jasnogórska pomimo ciemnej nocy spostrzegła samotnego eźdźca, tuż-tuż u podnóża twierdzy i głośno jeden z żołnierzy zawołał:

— Hej! a ktoś tam taki?...

— Cicho, na Boga zaklinam ciszej... to ja, Jacek Brzuchański... Może jest w pobliżu przewielebny ksiądz przeor albo pan Zamojski, albo Czarniecki?...

— Jest ksiądz przeor... Właśnie tutaj nadchodzi z panem Piotrem Czarnieckim...

— Bóg jego kroki skierował w tę stronę — rzekł pan Jacek.

Patrzył w górę, gdzie wysoko w baszcie, nad bramą, płonęło łuczywo, rzucając dokoła jasne smugi światła.

W świetle tem ukazała się nagle biała postać.

— Ojcze przeorze! — zawołał pan Jacek — niech będzie błogosławiona po stokroć ta chwila, w której was choć z takiej dalekości oczy moje oglądają.

— Jacku! znowu przychodzisz... Bóg ci zapłać... Ale strzeż się, nie wystawiaj życia na niebezpieczeństwo — dał się słyszeć głos księdza przeora — nieprzyjaciel czuwa...

— W Bogu moja nadzieja... toć wy, najprzewielebniejszy ojcze, po tysiąckroć częściej wystawiacie swoje życie na pociski Szwedów... Dziś ważną nowinę przynoszę: król nasz miłościwy Jan Kazimierz wraca do kraju. Z klasztoru Oliwskiego już wyjechał... już go tam niema... Wczoraj pewne stamtąd miałem wiadomości... Szwedzka potęga chwieje się... kraj się budzi...

— Bogu Wszechmocnemu dzięki!... Umacniacie w nas ducha tą radosną wieścią. Krwawo nas tutaj Pan Bóg doświadcza... Skądże te wieści otrzymaliście?...

— Z Lublińca, od hrabiego Andrzeja Celarego, wiernego sługi króla Jana Kazimierza.

— Któż je wam przyniósł?...

— Dwaj umyślni wysłańcy, którzy już nieraz w poselstwie od hrabiego u waszej wielebności bywali...

— Niechajże cię Marya, Królowa nieba i ziemi, za tę wieść radosną błogosławi... Wracajże, panie Jacku, co żywo, aby cię, broń Boże, straże szwedzkie nie poznały... My tutaj w obronie tego świętego miejsca do ostatka trwać będziemy.

Atoli nie zdążył odpowiedzieć na te słowa imć pan Jacek, gdyż naraz rozległ się tuż-tuż gwałtowny tętent koni i głośne okrzyki:

— Ach, Teufel!... Hundt!... ach, Dieb!...

To wpadli na niego, jak sfora brytanów, zbrojni wysłańcy Müllera.

Uwinęli się już z Konstancyą: dwóch z nich zaprowadziło tę żebraczkę przed groźne oblice szwedzkiego wodza.

Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.



Męczeńska śmierć wśród zamarzniętej rzeki Błogosławionego Dydaka de Carvalho, kapłana w Ksendyi, w Japonii, podczas prześladowania chrześcijan w r. 1624.

— Ach, Dieb!... ach Teufel!... ach, Hundt! — zachuczało znowu nad głową pana Jacka.

Nim zdołał opamiętać się, porwać za broń, już uchwycili za uzdę jego konia i pędem z wału uprowadzili.

Patrzał na to z boleścią w sercu ksiądz przeor, lecz nie mógł z nienacka pochwyconemu przez straż szwedzką przyjść z pomocą.

Strzelać z murów nie kazał w zwartą kupę Szwedów, bojąc się zranić lub zabić Brzuchańskiego.

— O, Maryo, Pani nasza, broń tego wiernego sługę Twego! — modlił się, wzruszony niespodzianą przygodą zacnego człowieka, tak gorąco oddanego dobrej sprawie.

Tymczasem ani się opamiętał pan Jacek, jak mu broń odebrano, ręce związano i przed namiot Müllera przyprowadzono.

Dopiero tutaj opamiętał się, spojrzał dokoła i nagle spostrzegł znaną sobie twarz Wukosza.

— I wy tutaj? — zapytał, przyjaźnie zwracając się do niego i nie przeczuwając w nim zdrajcy.

Ale Cygan odwrócił się, wykrzywił usta i jak drugi Judasz, odrzekł:

— Szpiegu klasztorny, nie przyznawaj się do mojej znajomości... Bądź przeklęty, kiedy na szkodę działasz wielkich, niezwyciężonych wojsk szwedzkich...

Blade lica pana Jacka cień okrył, pochylił siwą głowę i westchnął boleśnie.

— Panie Boże, nie karz za moją krzywdę tego zdrajcy!...

Niebawem wprowadzono go do namiotu Müllera.

Wódz ten właśnie wraz z hrabią Wrzeszczewiczem odczytywał listy, które z klasztoru przyniosła żebraczka Konstancya, gdyż nikt inny zanieść ich nie chciał, jako-że Müller w gwałtowności swej niepohamowany, śmiercią groził wysłańcom.

Ponury, jak noc burzliwa, siedział Müller i słuchał, a hrabia Wrzeszczewicz czytał. Listy od przeora tak do niego, jak do Wrzeszczewicza opiewały, że klasztor poddać się Szwedom nie może bez woli króla Jana Kazimierza, któremu zakonnicy wierność zaprzysięgli.

Gdy skończył, Müller pięścią w stół grzmotnął, porwał się z miejsca i coś bełkotał przez dobrą chwilę, a później zaczął wrzeszczeć:

— Sto armat tu sprowadzę, w gruzy ten kurnik obrócę!... żywej duszy z niego nie wypuszczę!

I Wrzeszczewicz zawrzał gniewem.

— Pióra, papieru! — rozkazał — zaraz tym szalonym mnichom dam odpowiedź.

I trzęsąc się jak w febrze z wielkiej złości, siadł i pisał do Ojców Paulinów:

„Odkładać nadal straszliwego szturmu, który Wam grozi, pan jenerał nie może i nie powinien. Oświadczamy obaj publicznie, że Wasz klasztor i kościół zupełnie zniszczymy, w gruzy go zamieniwszy, a to z pomocą machin, które już są gotowe i w każdej chwili na rozkaz jenerała działać mogą. Zaklinam Was na Boga i Najświętszą Pannę, abyście nie sądzili, że Wam to napróżno mówię. Doświadczycie, niestety! czego się nie spodziewacie i o czem nie myślicie. Jeżeli Wam się te moje uwagi podobają, dajcież odpowiedź natychmiast, bo tej nocy i jutro przyjdzie wasza zguba, której ja nie będę mógł przeszkodzić, jeżeli tego, co Wam powiedziałem, nie uczynicie.“

List ten głośno Müllerowi odczytał i szybko go zwinąwszy, oczekującej na odpowiedź w kącie namiotu Konstancyi do rąk oddał.

Ta, nucąc półgłosem pieśń do Bogarodzicy, z namiotu wybiegła i nawet nie spojrzawszy po za siebie, wprost ku głębokiej fosie, otaczającej klasztor, poskoczyła.

Zniknęła w niej wkrótce, wciąż nucąc pieśń pobożną.

Jak tygrys w klatce uwięziony, tak rzucał się w swym namiocie jenerał Müller.

— Mnie-ż przyszło na to—ryczał—mnie, którym przez całą niemal Europę zachodnią zwycięską stąpał nogą, zaszczytne zbierał laury podczas Wojny Trzydziestoletniej?... Mnie-ż — powtarzam — przyszło na to, abym nędznej żebraczki za posły używał!... Hańba! hańba mi!... Skoro świt, szturm przypuszczę, jakiego świat nie widział!...—Zburzę to gniazdo przeklęte białych krnąbrnych mnichów... Ich zaś powywieszam... co do nogi powywieszam...

Zadławił się, poczerwieniał i ciężko sapiąc, siadł za stołem.

Wrzeszczewicz patrzył nań osowiały, przygnębiony.

Wtem hałas wszczął się przed namiotem.

— Co tam się dzieje? — zapytał jenerał.

Wrzeszczewicz poskoczył ku wyjściu i wychylił głowę na zewnątrz.

— Schwytano szpiega, ekscelencyo!...

— Brzuchańskiego?... — ryknął wściekły z gniewu Müller — dawać go... Tu... do moich nóg dawać... Zdepcę go lub dowiem się prawdy, kto mu każe dawać dobre rady oblężonym.

Kipiał z gniewu, oczy z za brwi nastrzępionych rzucały złowróżbne błyskawice.

Straż zbrojna wepchnęła do namiotu pobladłego jak opłatek pana Jacka.

Upadł na kolana przed sapiącym, niby rozjuszony tur Müllerem.

— Mówisz po niemiecku? — zapytał jenerał.

— Mówię...

— Tyś jest Jacek Brzuchański?...

— Ja jestem—odrzekł stary, trzymany na rzemiennej pętlicy zarzuconej mu na szyję, jak stryczek.

— Gdzie cię schwytano? — pytał wciąż groźnie jenerał.

— Pod murami Jasnej-Góry.

— Coś tam robił?

— Tego wam, jenerale, nie mogę powiedzieć... Chciałem zobaczyć księdza przeora.

— Tego czarownika!... Dobrze... Powiedz, o czem z nim mówiłeś?... Czy długo twierdza trzymać się może?...

— Nie mogę, jenerale... o tem mówić nie mogę!...

Müller utopił wzrok straszny w bladej, siwemi włosami okolonej twarzy pana Jacka.

— Tyś mieszczanin częstochowski?

— Tak, z dziada pradziada ród mój w tym świętym grodzie Maryi przebywał.

— Tem ci gorzej!... Musisz mi wyznać całą prawdę, o czem rozmawiałeś z przeorem... Skąd masz wieści, że ten nędzarz—tułacz Jan Kazimierz do kraju wraca?...

— Nie mogę, panie!...

— Nie?

— Nie!

Müller zerwał się i pochwyciwszy za siwe włosy pana Jacka, zadarł mu głowę do góry i plując mu w oczy, cały czerwony, z twarzą krwią nabiegłą, pytał chrapliwym głosem:

— Słuchaj.., skórę z ciebie pasami drzeć każę... końmi cię rozszarpię, jeśli nie odpowiesz na moje pytania... Ja, jenerał króla Karola Gustawa cię pytam, a ty odpowiadaj, co umacnia tych mnichów do oporu?... gdzie najsłabsze mury klasztoru, abym wyłom w nich łacno mógł wybić!... No, gadasz?...

Na to pan Jacek:

— W ręku-m twojem, przesławny wojowniku, ja, starzec z sił opadły... Nie żądaj, panie, abym na głowę siwą hańbę i sromotę ściągnął, abym jak drugi Judasz Iskaryota, zdradzał dobrodziejów moich—czcigodnych Ojców Paulinów, abym wydawał w twe ręce gród Boży, tron ziemski Bogarodzicy, tobie, który świętości tej Królowej nieba i ziemi nie uznajesz, a która płaszczem gwiaździstym od celnych kul twoich i pocisków ognistych ten tron swój ziemski osłania... Ulituj się, panie, puść mnie, a wraz z żoną i dziećmi modlić się za ciebie będziemy, aby Bóg wiekuisty odpuścił ci grzechy.

Ale Müller nie słuchał już słów pana Jacka.

Pijany, rozszalały z gniewu, a nieprzyzwyczajony do oporu, kazał natychmiast przywołać kata. *)

Niebawem wszedł człek krępy, szeroki w ramionach, cały w czerwień odziany, a za nim trzech pachołków, w czerwonych na głowie kapturach. Dźwigali oni przeróżne do tortur przyrządy.

Müller skinął na kata.

— Urządź tu szubienicę — rozkazał — zawieś tego człowieka za pas w powietrzu i zagrzej kleszcze żelazne.

Jak pająki, kiedy siatkę w ciemnym kącie izby robią i w nią nieszczęsną muchę uwikłają, tak kat z pachołkami rozsnuli od stropu namiotu liny konopne i na nich niby ptaka z rozwianemi skrzydłami, imć pana Jacka zawiesili.

Jęk bólu rozwarł zaciśnięte usta starego, gdy go zawieszono w pół pasa, głową na dół.

Słysząc to, Müller dał znak katowi i ten żelazną swą pięścią uderzył w twarz pana Jacka tak silnie, że krew mu usta zalała i cienką strugą na ziemię sączyć się zaczęła.

Dwaj pachołkowie tymczasem rozdmuchiwali ogień, aby rozgrzać przy nim do czerwoności żelazne obcęgi do szarpania ciała przeznaczone.

To straszliwe widowisko, ta wołająca o pomstę do niebios męczarnia nieszczęsnego człowieka zdawała się uśmierzać wściekłość Müllera.

Uspokoił się, uderzył dłońmi o kolana i zawołał, wpatrując się w zawieszoną i srodze już udręczoną ofiarę:

— Hejże, stary, a teraz mi powiesz, czy klasztor długo się jeszcze opierać może?... gdzie najsłabsza furta?... przejście tajemne z fosy?...

— O, Przenajświętsza! — modlił się pan Jacek — daj wytrwanie!...

— Co gadasz?... głośniej mów!... No, wskażesz, o co pytam?... Złota ci dam, stary, mów!

— Litości, jasny jenerale, jam nie przeniewierca!... jam katolik... Boga mojego, dobrodziejów moich nie wydam... Ale zlituj się, panie, jam człek pracą sterany... mam żonę, dzieci... Patrz, cierpię, krwią się zalewam...

— Nie gadasz, o co pytam!—huknął groźnie Müller. — Hejże, czerwoni kawalerowie, przypalcie mu boki i plecy!

W jednej chwili, niby żądła trzech żmij, trzy obcęgi do czerwoności rozpalone wpiły się w ciało starca.

— Panienko Przenajświętsza!—krzyknął pan Jacek, drgnął, zatrząsł się i omdlał.

Krew z ran jego trysnęła.

---

*) Ksiądz przeor Augustyn Kordecki w swoim pamiętniku wspomina o tej krwawej przygodzie Jacka Brzuchańskiego.

W namiocie dał się czuć swąd opalenizny.

— Dosyć ma! — rzekł, chmurząc czoło Müller — opuśćcie go i weźcie pod swoją opiekę. Odpowiadacie mi za niego!... Jutro wieczorem, gdy przyjdzie do przytomności i siły odzyska, zabawimy się nim nanowo... Musi wyśpiewać wszystko!... Na dziś ma dosyć...

Rzekłszy to, wraz z Wrzeszczewiczem, który jak ryś krwiożerczy, z ciekawością przyglądał się męczarni starca, opuścił namiot.

— Ot, psie plemię, mój hrabio! — mruknął — szarpać się daje na sztuki w bezmyślnym uporze!... Pierwszy to jeniec, od którego sam chciałem przemocą zasięgnąć języka... Zaczarowały go białe mnichy!... Choćby chciał, nie może mi nic powiedzieć...

Co rzekłszy, wraz z Wrzeszczewiczem udał się do namiotu młodego księcia heskiego.

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.



PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE OGŁOSZENIA DOGMATU

Niepokalanego Poczęcia N. Maryi Panny.

Dnia 8 grudnia roku 1904 upływa lat 50 od owej uroczystej chwili, w której zarówno wielkiej, jak świętej pamięci papież Pius IX naukę o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny od początku Kościoła wyznawaną, jako dogmat do wierzenia podał. To też w całym Kościele katolickim już zawczasu robią się przygotowania do jaknajuroczystszego obchodu tej rocznicy.

A więc i my, jako cząstka tej wielkiej katolickiej rodziny, powinniśmy wedle możności i warunków miejscowych w czynie okazać, że bierzemy udział w tej uroczystości. Skoro więc w każdej parafii kapłan zawiadomi o tem swych parafian, boć oni wszyscy w życiu Kościoła udział brać winni, i obmyśli, co w jego parafii ma stanowić wiązanie dla Matki nieprzebranego miłosierdzia, na to pięćdziesięciolecie, to wówczas z pewnością wierne dziatki Maryi ułatwią mu spełnienie tego szczytnego zadania.

Co do mnie — to pragnę jeszcze i w inny sposób tę rocznicę w pamięci wiernych utrwalić, ale do tego potrzebuję pomocy szanownych spółbraci i gorliwych dziatek Maryi.

Otóż mam zamiar z powodu tej uroczystości ułożyć dwie książeczki. Jedną z nich, według myśli łaskawie mi poddanej przez gorliwego sługę Maryi, a mego niegdyś ukochanego ucznia, ks. Ordona, dziekana z Mławy,—będzie „Majowe nabożeństwo,“ powstałe przez stosowną przeróbkę i rozłożenie na dni 31 książki Lassera o Matce Boskiej z Lourdes.

Drugą zaś: „*Pięćdziesięciolecie ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia N. M. P.*“, t. j. przystępny wykład tej tajemnicy, opis uroczysto-

ści 8 grudnia 1859 r. i historyczny opis czci tajemnicy Niepokalanego Poczęcia na ziemiach polskich.

Otóż dla dokładnego napisania tych książeczek, z których pierwszą mam zamiar wydać na rzecz przebudowy katedry płockiej, znanej pod nazwą „S. Maria de Mazovia,“ a drugą na odnowienie ołtarza Matki Boskiej z Lourdes w swoim kościele, potrzebuje wiedzieć:

1-o W których miejscowościach są kościoły pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

2-o Gdzie są ołtarze lub kaplice pod temże wezwaniem.

3-o Gdzie w ołtarzach znajdują się figury lub obrazy Matki Boskiej z Lourdes.

4-o Gdzie są bractwa lub jakie inne instytucye pod wezwaniem tej tajemnicy.

5-o Wszelkie w ogóle wiadomości, do czci tej tajemnicy wśród Polaków się odnoszące lub wskazanie źródła, skąd ich można zaczerpnąć.

O udzielenie powyższych wiadomości za pośrednictwem „Dzwonka Częstochowskiego“, albo listownie do niżej podpisanego jak najuprzejmiej upraszam. O ile bowiem liczniejsze będą te małe cegiełki, o tyle, mimo nieudolności budowniczego, piękniejszy gmach ku chwale Niepokalanej Dziewicy powstanie.

Aby więc przedmiot był zbadany wszechstronnie, proszę jeszcze o wiadomości:

6-o W jaki wyróżniający się sposób uroczystość Niepokalanego Poczęcia bywa odprawiana.

7-o Jakie pieśni w danej miejscowości są śpiewane.

8-o Jakie są zwyczaje wpośród ludu, zabobony czy przesądy, do dnia 8 grudnia się odnoszące.

Oby Niepokalana Dziewica błogosławiła moim usiłowaniom i tych wszystkich, którzy mi wykonanie w jakikolwiek sposób ułatwią.

Ks. A. Brykczyński,

gub. łomżyńska, w Goworowie.





Fotografia Cudownego Obrazu Najświętszej Panny Częstochowskiej, zdjęta za staraniem O. O. Paulinów, na pamiątkę 300-letniej rocznicy urodzin ks. Augustyna Kordeckiego na Jasnej-Górze, przypadającej 16 listopada 1903 r.

Historya illustrowana Kościoła Świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Obraz VI.

Dalsze prześladowanie chrześcijan za czasów rzymskich.

Wiek trzeci rozpoczął się straszliwą walką przeciw Kościołowi; filozofowie wyśmiewali i podawali w pogardę jego naukę, odszczepieńcy ją w rozmaity sposób szarpali, a siepacze cesarza rzymskiego Septyma-Sewera strumienie krwi wylewali, aby Kościół w niej utopić i zgładzić ostatecznie, lecz wszystko to napróżno, gdyż Bóg wziął go w obronę. Przeciw filozofom i heretykom stawił wielkich i rozumnych obrońców, przeciw prześladowcom tłumy męczenników, których krew zdawała się być posiewem nowych wiernych, stokrotny plon wydającym. Piąte prześladowanie powszechne za cesarza rzymskiego Septyma-Sewera wybuchło r. 202 po Chrystusie i ciągnęło się przez cały czas panowania syna jego, dzikiego Karakalli. W Lugdunie liczba męczenników wzrosła do 19 tysięcy, wspomnimy z nich tylko ucznia świętego Polikarpa, świętego Ireneusza, biskupa lugduńskiego, który dla pism naukowych religijnej treści, w greckim języku pisanych, został jednym z greckich ojców Kościoła nazwany.

W afrykańskiem kwitnącem mieście Kartaginie, poniosła męczeństwo, w gronie innych nieustraszonych wyznawców Chrystusa, młoda niewiasta imieniem Perpetua. Ojciec jej pozostawał jeszcze w błędach

pogaństwa, gdy ją uwięziono wraz z bratem świętym Saturem i ze świętymi: Saturninem, Rewokatem, Sekundulusem i Felicytą. W więzieniu dopiero całe to grono męczenników chrzest święty przyjęło.

Perpetua mężne czoło stawiła wszelkim usiłowaniom ojca swego ku przymuszeniu jej, aby się wyparła wiary chrześcijanskiej. Pozostawiła zajmujący opis cierpień poniesionych w więzieniu i nadziemskich widzeń, któremi Bóg krzepił w ciemnicy wybranych swoich. Miała ze sobą drobne dziecię, które własnemi piersiami karmiła. Krótko przed zapadnięciem ostatecznego wyroku odwiedził ponownie świętą Perpetuę ojciec jej.

— „Córko droga" — powtarzał, zalewając się łzami — „miej litość nad mą siwizną, miej litość nad nieszczęsnym twym ojcem. Chowałem cię z tak wielką pieczołowitością, ukochałem cię ponad wszystkie dzieci moje, nie okrywaj hańbą mej starości. Miej litość nad matką twoją, nad dzieciątkiem, które bez ciebie żyć nie może."

Łzy jego, pocałunki i prośby mieczem boleści przeszywały serce młodej świętej, lecz do odstępstwa skłonić jej nie zdołały.

Całe grono towarzyszów świętej Perpetuy, wraz z nią i świętą Felicytą, skazane zostało na śmierć przez wystawienie na pastwę dzikim zwierzętom. Wkrótce po usłyszeniu wyroku, święta Felicyta powiła w więzieniu córeczkę, którą oddała skrycie na wychowanie pewnej chrześcijance, odwiedzającej bohaterskie niewiasty.

Na parę dni przed igrzyskami, w których wyznawcy Chrystusowi męczeńską koronę wysłużyć sobie mieli, odwiedził raz jeszcze świętą Perpetuę ojciec jej. Żadne pióro opisać nie zdoła jego rozpaczy, wił się z bólu po ziemi, brodę sobie wyrywał i starość swą przeklinał:

— „Umierałam z żalu, widząc go w tym stanie — pisze święta— „ale Bóg i w tej straszliwej próbie sił mi dodał."

Posiadamy prześliczny opis bohaterskiej śmierci Kartagińskich męczenników, spisany przez naocznego świadka; nazwisko jego do nas nie doszło, wielu poważnych pisarzy kościelnych sądzi, iż był nim Tertulian, którego życiorys wkrótce podamy.

Skoro nadszedł dzień igrzysk, poprowadzono świętą Perpetuę z towarzyszami jej do amfiteatru, gdzie widok ich śmierci miał za zabawę służyć barbarzyńskim pogańskim tłumom. Radość tryskała z oblicza świętych. Perpetua szła ostatnia, spuszczając powieki, aby przyćmić blask oczu swoich, Saturnin i Satur grozili pomstą Bożą ludowi, jeżeli trwać będzie w błędach pogańskich i odważnie rzekli sędziemu, który ich na śmierć skazał:

— „Tyś na nas wyrok wydał, ale wkrótce Bóg ciebie sądzić będzie."

Za te słowa ubiczowano ich przed rozpoczęciem igrzysk. Gdy święci już się na arenie amfiteatru znajdywali, wypuszczono przeciw nim

różne dzikie zwierzęta: niedźwiedzie, lamparty, dziki i rozjuszone bydlęta. Perpetuę i Felicytę rzucono w siatce przed krowę rozwścieklonął. Lamparty i niedźwiedzie szarpały świętych Saturnina i Rewokata, inny lampart rozdarł na wpół świętego Satura, a rozjuszona krowa kaleczyła bez litości święte niewiasty, które w nadziemskim zachwycie nie czuły ran, ani uderzeń. Gdy upłynął czas na igrzyska przeznaczony, wszyscy męczennicy prócz świętego Satura żyli jeszcze, musieli więc gladyatorowie zadać im cios ostatni. Święta Perpetua, otrzymawszy kilka ran ciężkich, ukazała niezręcznemu gladyatorowi miejsce, w które miał jej zadać cios śmiertelny. Taka wytrwałość i męstwo ze strony słabych niewiast wprawiały widzów w zdumienie i przyczyniały się do pozyskania Chrystusowi coraz to nowych wyznawców.

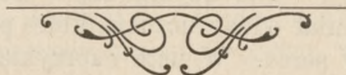
Jeden z poetów naszych, Antoni-Edward Odyniec piękny napisał dramat, osnuty na tle tego prześladowania, pod tytułem: „Felicyta czyli Męczennicy Kartagińscy.“ Nie trzymał się w nim ściśle prawdy historycznej, ale wiernie umiał oddać uczucia, które przepełniały bohaterskie świętych męczenników serca. W usta naprzykład świętej Felicyty kładzie następujące piękne słowa:

Za cóż mi, Panie, płacisz tak drogo!
Cóżem Ci dała, co poświęciła?
Grzechy i boleść, co mię tłoczyła,
A Ty, mi, Panie, łaską za grzechy,
Za boleść płacisz morzem pociechy;
Za łzy rozpaczy, w chrzestnym Twym zdroju
Wlałeś w mą duszę morze pokoju;
I za śmierć, której pragnę dla Ciebie,
Życie mi wieczne gotujesz w Niebie!
Gdzież jest ta trwoga mąk i katuszy?
Skąd ta nie moja śmiałość w mej duszy?
Z czegoż Ci, Panie, złożę ofiarę,
Z czego zasługę? — gdy nie przez wiarę,
Nie przez ufanie, lecz wszystko prawie
Czuję, pojmuję, widzę na jawie:
I marność ziemi, i lichość moją,
I wielkość Twoją, i chwałę Twoją.
Gdzież jest — gdzie może być w tej zamianie
Zasługa moja, gdy Ci, nic, Panie,
Dać z siebie nie mam, a wszystko biorę?
Przyjmże przynajmniej cześć i pokorę.
Umrzeć za Ciebie daj mi przynajmniej
Jakoś Ty cierpiał i umarł za mnie!

Następcy cesarza Septyma-Sewera i okrutnego jego syna Karakalli przez lat 24, a więc ćwierć wieku prawie chrześcijan nie prześladowali. Jeden z nich, Aleksander Sewerus, był nawet życzliwy wyznawcom Chrystusa i Jego samego za jednego ze swoich bogów uznawał; w małej domowej świątyni, wśród posągów bożków pogańskich, umieścił wizerunek Chrystusa Pana i zamierzał uroczyście Go zaliczyć w poczet bóstw, czczonych urzędowo w cesarstwie.

Piękna zasada chrześcijańska: „Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło!“ tak mu się podobała, iż wyryć ją w swym pałacu kazał i przed skazanymi na śmierć przez woźnych wykrzykiwać. Jednakże nie otworzył duszy swej prawdzie chrześcijańskiej i umarł w dziwnej tej mieszaninie pojęć.

(D. c. n.)





Kompania z Siemoni, dyecezyi kieleckiej, „u stóp Jasnej-Góry.

Nowiny z Częstochowy.

Uroczystość uczczenia 300-ej rocznicy urodzin ks. Augustyna Kordeckiego. Na Jasnej-Górze zgodnie z zapowiedzią przewielebnego księdza przeora Ojców Paulinów odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne za spokój wieczny zmarłych Ojców Paulinów i dobrodziejów klasztoru. Udział wiernych, dla których drogą jest pamięć bohaterskiego obrońcy Jasnej-Góry od najazdu szwedzkiego, był wielki. Obszerne sprawozdanie z odbytych uroczystości tak na Jasnej-Górze, jak i w innych miejscowościach, podamy w tomie przyszłym naszego pisma.

= W „Przeglądzie Katolickim" Przewielebny ks. przeor jasnogórski ogłasza: To, co najdroższego ma Jasna-Góra, pragnęli dać OO. Paulini na 300-letnią rocznicę urodzin wiekopomnego O. Augustyna Kordeckiego przeora klasztoru, — postarali się przeto o najprawdziwszą, ile być może, podobiznę cudownego obrazu Bogarodzicy, która była i jest treścią i źródłem tego wszystkiego, co w przeciągu sześciu wieków stało się na tem świętem miejscu.

Jedynym dniem jest Wielki Czwartek, w którym przez dobę całą obraz cudowny jest zasłonięty blachą złotą, bo w dniu tym msze święte przed nim nie odprawiają się, a całe nabożeństwo uroczyste odbywa się w kościele wielkim.

Z dnia tego Paulini skorzystali w roku bieżącym i, zamiast, jak lat innych, o bardzo wczesnej godzinie rano, wieczorem dopiero dopełnili zmiany drogocennej sukienki na obrazie cudownym.

Na czas cały od pierwszego brzasku dziennego aż do zmroku, Obraz Cudowny przenieśli na skarbiec i umieścili w odpowiedniem oświetleniu dziennem, by zaproszony umyślnie, znany chlubnie artysta malarz, Józef Chełmoński, mógł wiernie skopiować tak drogie i tak czczone przez wieki Oblicze Bogarodzicy. Sndaź Najświętsza Panna zgodziła

się na to, bo zamiar, dokonywany ze czcią i pobożnością, szczerze powiedzieć można, udał się zupełnie.

P. Chełmoński uwydatnił przy swej pracy dwie bardzo ważne rzeczy, znajomość zupełną artyzmu tegoczesnego i cześć głęboką dla artyzmu starożytnego, który pragnął przedstawić Bogarodzicę w Obrazie częstochowskim.

Wiadoma rzecz, że sercom wiernym nie te obrazy są najdroższe, które zostały pięknie i według wszelkich reguł techniki namalowane, lecz te, które Bogu podobało się ubogacić łaskami cudownemi, niosącemi pomoc i pociechę ludziom. Zresztą, nic dziwnego, że są punkta, gdzie rozum ludzki zamiarów Bożych zgadnąć nie może. Artysta uszanował w zupełności fakt ten i dał nam przeto stokroć droższy wizerunek Najświętszej Panny, bo tej, którą, wedle tradycyi starożytnej, święty Łukasz malował, a czczony wielce w Jerozolimie, Konstantynopolu i na zamku bełzkim, a szósty już wiek na Jasnej-Górze w Częstochowie.

Paulini mają za to wdzięczność serdeczną dla szanownego nestora malarzy.

Jakiż był powód do takiego kopiowania Obrazu?

Pierwszy na początku już wymieniono, to jest owa rocznica 300-letnia urodzin księdza Kordeckiego. Drugi zaś ten, że malarze częstochowscy, nie mając sposobności widzenia zblizka i dokładnie oryginalnego obrazu, nie mogą, choćby chcieli dokładnie go odtworzyć; dzisiaj im to klasztor w zupełności ułatwił.

Przyczyna leży w tem, że sama kaplica, w której obraz cudowny umieszczony, jest dosyć ciemna, nadto, gruba i bogato szyta kamieniami i perłami suknia na obrazie, odstając od niego, jeszcze więcej zaciemnia oblicze święte; zresztą, sam obraz dosyć wysoko jest umieszczony w ołtarzu, aby go było można dobrze widzieć.

I jeszcze rzecz jedna. — Trudno znaleźć obraz Bogarodzicy gdziekolwiek, któryby tyle kolei przechodził, jak obraz Najświętszej Panny, obecnie Częstochowską zwanej. Naród i miasto prawem serca i miłości uczynił Ją Obywatelką tutejszą i Panią kraju całego.

Więc przebyte wieki zostawiły ślady na Obrazie Cudownym, — naprzód czas, sięgający dalekiej przyszłości, o czem sam obraz mówi, dalej — pokaleczenia, jakie mu poczyniły kule tatarskie na bełzkim zamku, a wreszcie, zniewaga największa, bo umyślna, jakiej doznał w samej Częstochowie w r. 1430, *) gdy Husyci czescy obraz wyrwali z ołtarza, nie mogąc go uwieźć, rzucili na ziemię, pocięli szablami, przez

*) Długosz Lib. XI, 453.

co złamał się na trzy części i zniszczył zupełnie, iż musiano go przewieźć do Krakowa, by w tem mieście, z nauki i sztuki słynnem, obraz wyrestaurowano i przywrócono do stanu pierwotnego.

To wszystko razem wzięte sprawia, że Obraz ten przecudowny bardzo jest zniszczony i nadwątlony, cały i w pojedyńczych częściach; by zaś te trzymały się w całości, Obraz z drugiej strony podczas restauracyi w Krakowie został naklejony grubem i mocnem płótnem, na którem wymalowana jest zarazem historya cała Obrazu cudownego.

Kończąc wzmiankę o skopiowaniu Cudownego Obrazu, niepodobna zamilczeć pytania, jakie się samo narzuca wszystkim, którzy w Wielki Czwartek są świadkami przy zmianie sukienki i patrzą zblizka na Obraz. Widz pobożny stoi zdumiony i mówi, czemu Obraz tak święty, ze względu na swój początek, na nieprzeliczone łaski cudowne, jakich doznawali w szeregu wieków kraje i ludzie, wśród których przebywał, że księgi objąć nie mogą tych cudów, dla czego Obraz sam, Bogarodzica dopuściła, by był tak znieważony i zniszczony? Oblicze bowiem pokaeczolne od kul tatarskich i szabli husyckich, deska, na której namalowany, potrzaskana na części, Oblicze jest przyciemnione bardzo, znać na nim wszystkie koleje, jakie przechodził... przypominają się tu słowa Pisma świętego przez Kościół do Najświętszej Panny zastosowane: „czarna jestem, lecz piękna... opaliło mnie słońce“ — nigra sum sed formoso... docoloravit me sol.“

Odpowiedź znajdziemy odrazu, gdy przypomnimy sobie Chrystusa Pana: wszak On był Bogiem, Panem życia i śmierci; przechodząc po ziemi, wszystkim dobrze czynił: wskrzeszał umarłych, leczył chorych, nieumiejętnych nauczał, sam zaś dopuścił, by został znieważony i ukrzyżowany.

Nauka stąd dla chrześcijanina, iż chcąc mieć cząstkę z Chrystusem i Jego Matką w chwale, powinien wiele cierpieć i zawsze dobrze czynić, — bodajby doznawał krzywd największych, nie wolno mu chwytać się środków złych, nieuczciwych, ma zwyciężać złe przez dobre i w tem właśnie spoczywa cała siła prawdy Bożej, siła Kościoła świętego, siła prawdziwych jego dzieci. Posługując się względem złego człowieka jego bronią, staje się on jednej z nim wartości i traci prawo do współczucia.

Wracając jeszcze do kopii obrazu cudownego przez p. Chełmońskiego namalowanej, zauważyć należy, że gdyby ta pozostała w jednym egzemplarzu, nie byłoby stąd wielkiej korzyści. Zaradzono temu w ten sposób, iż pod kierunkiem tegoż artysty, upoważniony fotograf w Częstochowie, dokonał wiernego odbicia i to w licznych egzemplarzach, które będą do nabycia w klasztorze Jasnogórskim; malarze zaś Często-

chowscy będą mieli łatwy sposób, najlepszy wzór do naśladowania pędzlem.

Dnia 4 października 1903 roku.

O. E. Rejman.
Przeor na Jasnej-Górze.

Budowa wieży. Kamieniarskie oraz murarskie roboty przy wieży są na dokończeniu. Parę jeszcze warstw, a monumentalne do dzieło, uwieńczy wspaniały choć skromny gzems, na którym już bezpośrednio spocznie konstrukcya żelazna. Ta ostatnia nie będzie w tym roku ustawiona z powodu, że przerwy przez deszcze spowodowane, a także i liczne święta znacznie opóźniły wykończenie murów, a tem samem wykończenie wieży w ogóle.

Pięknie polerowane bloki granitowe, na których stanąć mają kolumny, już osadzono na miejscu. Same zaś kolumny czekają tylko na złożenie i ustawienie specyalnie sporządzonej machiny, która po wciągnięciu kolumn na górę ma przewieźć je na odpowiednie postumenta.

Ogromne głazy, które budziły ogólny tu podziw, zniknęły na tej wysokości, wyciągnęły się w linie, wydelikatniały, tworząc tam na szczycie piękna, kształtną i harmonijną całość.

Nie pozostało nic z tych potwornóych wymiarw i ich ciężarów. Nic tam nie wydaje się za ciężkiem, za wielkiem. Całość zaś, na której wzniesienie spotrzebowano górę kamienia i cegły, jak świeca strzela lekko w obłoki. Patrząc na to gotowe już dzieło — w dodatku patrząc z dołu, wydaje się to czemś tak naturalnem, tak łatwem — bo i cóż — wielka rzecz wieża — i to jedna w dodatku.

Ileż jednak włożyć musiano tu prawdziwie mrówczej pracy, ile sposobów i przemyśliwań, to wiemy my tylko, co przebieg robót śledzimy. Parę dni jeszcze ciepła, a pełną piersią zawołać będzie można: „kamienna część wieży, skończona.“

Pobyt J. E. ks. biskupa hr. Szembeka na Jasnej-Górze. Dnia 20 czerwca r. b. w przejeździe z zagranicy zatrzymał się w naszym świętym grodzie Jego Ekscelencya ks. biskup dyecezyi płockiej, Jerzy hr. Szembek. Od chwili objęcia stolicy biskupiej, pragnieniem Jego Ekscelencyi było przyjechać na Jasną-Górę, pomodlić się u stóp Najświętszej Matki Boskiej, ale okoliczności od niego niezależne ciągle dotychczas stawały mu na przeszkodzie; lecz tym razem gorące życzenie Jego Ekscelencyi spełniło się i z radosnem wzruszeniem odprawił Mszę Świętą przy ołtarzu Najświętszej Maryi Panny.



Kompania z Rozprzy, dyecezyi kujawsko-kaliskiej, u stóp Jasnej-Góry.

Rokuje sobie Jego Ekscelencya, że jeszcze niejednokrotnie będzie mógł spełniać to święte swoje życzenie, do czego i my przykładamy serdeczne prośby.

Kompania z Siemoni, dyecezyi kieleckiej na Jasnej-Górze. W dniu 24 sierpnia r. b. o godzinie 4 po południu przybyła na Jasną-Górę kompania pobożnych pątników pod przewodnictwem ks. Stanisława Raczkowskiego. Ci pobożni z Siemoni odbywają pielgrzymkę do świętego Maryi grodu każdego roku, ale tym razem nie mogliśmy oprzeć się wzruszeniu, patrząc na uroczysty nastrój wszystkich uczestników tej ładnej kompanii, na radość bijącą z ich oczu, na serdeczne starania w upiększeniu hołdu, składanego Najświętszej Matce Boga Rodzicielce.

Do tego pobożnego czynu, okazania czci Matce Boskiej w formie pięknej dla oka, przyczynili się bracia i siostry Różańcowi, ze wsi Dobieszowice. Dziewczęta zaś tej wioski, żyjące z ciężkiej pracy rąk w fabrykach, przystroiły kilka obrazów, które miały w kompanii, a szczególniej ozdobą był feretron ze statuą Matki Najświętszej Niepokalanego Poczęcia. Wszystko to za grosze ubogich dziewcząt ze wsi Dobieszowice.

Wszystkim owym braciom i siostrom oraz tym, którzy przyczynili się do ozdoby kompanii, dla chwały Maryi, przesyłamy słowa uznania.

Kompania z Rozprzy dyecezyi kujawsko-kaliskiej. Pierwszy raz mieliśmy liczną kompanię, bo 700 dusz liczącą, przybyłą z Rozprzy pod przewodnictwem ks. Teofila Jankowskiego i dwóch alumnów: Gotza i Wojtasika. W czasie podróży lud odbywał ze swym kapłanem rekolekcye. Wszyscy byli u Spowiedzi i przyjmowali Komunię świętą. Uczestnicy kompanii zachowywali się wzorowo, a po trzydniowym pobycie na Jasnej-Górze, w takimże porządku powrócili do swoich zagród rodzinnych.

OFIARY:

Na klasztor Jasnogórski.

J. Gruż. z Por.	rb.	— 50	kop.
J. Ptasznik z G.	„	— 50	„
E. Procajłło z Port-Artura	„	1 —	„
P. Ignat. z Mińska.	„	1 —	„
Od Emilii	„	— 50	„
Bezimiennie	„	— 15	„
Ks. Łaz. z K.	„	3 —	„
B. Lisowski z W.	„	10 —	„

Na powodzian.

J. Ptasznik z G.	rb. —	25 kop.
M. Mazur „	„ —	15 „
Marya Mierzwowa z G.	„ —	15 „
Teresa Puszkowa „	„ —	10 „
K. Masztalerowa „	„ —	13 „
Józef Ptasznik „	„ —	10 „
M. Smorczewski z Bak.	„ 1 —	„



Nowiny z daleka i z blizka.

Rok pierwszy panowania Jego Świętobliwości Papieża Piusa X.

= Dnia 8 grudnia w roku przyszłym przypada rocznica pięćdziesiąta ogłoszenia Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny za jedną z zasad wiary. Ten jubileusz będzie uroczyście obchodzony przez wszystek świat katolicki, a trwać ma rok cały. Zmarły Papież, Leon XIII, gorliwy czciciel Bogarodzicy, na krótko przed śmiercią, bo w maju roku bieżącego, wystosował pismo do kardynałów: Vannutelliego, Rampolli, Ferraty, i Vivesa y Tuto, polecając im ułożenie planu uroczystości jubileuszowych. Jakoż ułożyli oni plan rzeczony, przybrawszy do pomocy, jako sekretarza, kanonika bazyliki watykańskiej, mgra hrabiego Radini Tedeschi; a praca ich zyskała uznanie Leona XIII. Następca Leona XIII, Jego Świętobliwość Pius X, również zatwierdził plan ten, nadto postanowił ułożyć stosowną modlitwę, która zostanie ozdobioną portretem Jego i rozpowszechnioną po świecie drukiem. Do planu uroczystości jubileuszowych włączono: nabożeństwa, które będą się odbywały w kościołach rzymskich Ś-go Piotra i Najświętszej Panny Większej; międzynarodowy zjazd czcicieli Maryi w Rzymie; utworzenie biblioteki Maryjskiej (to jest z dzieł, dotyczących czci Maryi); urządzenie misyj ludowych, celem przygotowania wiernych do godnego obchodu jubileuszu; odbywanie ćwiczeń duchownych w katolickich związkach i stowarzyszeniach; pielgrzymki do miejsc, słynących łaskami Maryi; osobne nabożeństwa, w dniu 8 każdego miesiąca, począwszy od 8 grudnia roku bieżącego; modlitwy częstsze i żarliwsze za te dusze w czyśćcu, które, żyjąc na ziemi, czuły osobliwą cześć dla Maryi; uroczyste nabo-

żeństwo na grobie Papieża Piusa IX, w bazylice Ś-go Wawrzeńca (ten Papież bowiem dogmat Niepokalanego Poczęcia ogłosił); osobne uroczystości przed najstarszemi wizerunkami Bogarodzicy. U nas, oczywiście, głównem miejscem uroczystości jubileuszowych będzie Jasna-Góra.

= Znamiennem przemówieniem obdarzył Jego Świętobliwość włościan z okolic Rzymu, którzy w liczbie 2 tysięcy zgromadzili się z hołdem wierności synowskiej u stóp Jego tronu. Rzekł do nich: — Te objawy uszanowania i przywiązania wzruszają mnie nie dlatego, jakoby miały dotyczeć mojej osoby, lecz ponieważ są okazywane Temu, którego przedstawiam, a mianowicie: Jezusowi Chrystusowi. W hołdzie waszym widzę świadectwo wiary, która was wszystkich ożywia, a jest dla mnie tem milszy, ponieważ większość was składa się z robotników. Chrystus bowiem jest orędownikiem robotników, którzy trwają w wierności dla Niego. Życie robotnika zadowolonego posiada słodycz, w niej znajduje się skarb prawdziwy. Oto pierwsze słowa moje do Rzymian. Bądźcie zadowoleni z waszej doli, dbajcie o wychowanie dzieci. Zapewniam was, w imię Ducha Ś-go, że błogosławieństwo Boże, o które dla was i dla rodzin waszych teraz proszę, będzie z wami.

= Wszyscy, którzy mieli szczęście zbliżyć się do Piusa X, są zachwyceni Jego słodyczą i dobrocią. Wkrótce po koronacyi uzyskał posłuchanie jeden z proboszczów weneckich. Jego Świętobliwość przyjął go serdecznie, zalecił, iżby często odwiedzał Watykan.

— Ty możesz przybyć do Rzymu — mówił — ja, niestety, może nigdy już nie zobaczę mojej ukochanej Wenecyi.

W kilka dni potem, kapitan straży papieskiej oddalił za jakieś drobne przewinienie gwardzistę. Wydalony żołnierz wniósł na piśmie prośbę do Jego Świętobliwości o przebaczenie winy i darowanie kary. Papież rozkazał go przywołać.

— Widzisz, mój drogi — rzekł — do czego doprowadza nieposłuszeństwo wobec starszych. Bądź dobrej myśli jednak: gdy spólnie poprosimy kapitana, może tym razem jeszcze ci przebaczy.

Jakoż wezwał kapitana i polecił mu zatrzymać nadal żołnierza w szeregach gwardyi.

To znowu Jego Świętobliwość dowiedziawszy się, iż siostrzeniec Jego, Parolin, został ojcem, natychmiast zażądał od siostry swojej, pani Parolin, aby mu przysłała fotografię wnuczki, zastrzegając: „Niech fotograf stara się uchwycić podobieństwo rysów mojej wnuczki.“

Z każdego zresztą postępku Ojca Świętego widnieje dobroć i umiłowanie prostoty. Liczne otoczenie dworzan i sług krępuje Go, na co się nawet przed osobami zaufanemi uskarża.

= Słynny twórca dzieł muzycznych, ks. Wawrzyniec Perosi, który przez lat pięć pozostawał w Wenecyi przy boku dzisiejszego Ojca Świętego, tak o Jego Świętobliwości opowiada: „Nie można wyobrazić sobie męża szlachetniejszego i milszego. Zawsze pogodny, uprzejmy, nigdy o sobie nie myśli, lecz o bliźnich, serdeczną wdzięczność okazuje za każdy dowód pamięci. Słucha chętnie rad wszystkich, chętnie ustępuje, jeżeli widzi, że ustępstwo wywoła skutek zbawienny. Jestto oznaką charakteru wzniosłego, silnego, bez samolubstwa; charakter bowiem słaby zawsze stara się słabość swoją uporem pokryć. Wola ta poparta jest przez rozum bystry, odrazu przenikający jądro sprawy, potrafiący ją należycie ocenić Żeby mieć pojęcie o złotem sercu Jego Świętobliwości, trzeba widzieć, jak ja to nieraz widziałem, tę radość promienną na Jego obliczu, gdy ma sposobność przebaczyć co komu, lub waśń jaką uśmierzyć. Lecz nienależy mniemać, że Jego Świętobliwość jest łatwo przystępnym. Przeciwnie — cechuje Go ostrożność i powściągliwość. Nawet w kółku najściślejszem nie porusza spraw dyecezyalnych. Zresztą we wszystkiem odznacza się niezwykłą wstrzemięźliwością, jest człowiekiem pracy, przechadzka po świeżem powietrzu wystarcza Mu za rozrywkę. Zawsze się troszczył o wyrugowanie ze świątyń złej muzyki, z tego powodu łączyła Go ścisła przyjaźń z Ojcem Arnellim, który najżarliwiej w tej sprawie pracuje. Kiedy był biskupem w Mantui, sam uczył kleryków śpiewu gregoryańskiego.“ Ksiądz Perosi słów nie ma dla Jego Świętobliwości, a każdy z otoczenia słuszność mu wszelką przyznaje.

= O trybie życia Jego Świętobliwości gazety watykańskie tak piszą: ,,Pius X wstaje o godzinie 5-ej z rana latem i zimą. Kiedy był w Wenecyi, po nabożeństwie i śniadaniu wsiadał do gondoli (łodzi) i odbywał przejażdżkę po kanałach tamtejszych, w towarzystwie swego sekretarza, ks. Bressona. O godzinie 8-ej wracał do pałacu arcybiskupiego; o godzinie 12 spożywał skromny obiad, przyrządzony przez siostry. W Watykanie również wstaje o 5-ej z rana, o 6-ej odprawia Mszę Świętą, następnie wraca do swoich komnat, pije kawę, zjada do tego grzanki z chleba, z marmoladą i masłem, poczem udziela posłuchań. O godzinie 1-ej jada obiad, złożony z zupy, dwóch dań, owoców i kawy. Po godzinie spoczynku, modli się i znów udziela posłuchań. Następnie spaceruje przez dwie godziny, po spacerze mgr Mery del Val odczytuje Mu listy i depesze. Udaje się na spoczynek o godzinie 10. Tymczasowo

mieszkał Ojciec Święty w Watykanie na trzeciem piętrze, w komnatach, które poprzednio zajmował kardynał Rampolla. Komnaty Leona XIII odnawiają się obecnie — w nich pono Pius X będzie udzielał posłuchań. W końcu ubiegłego miesiąca, października, Jego Świętobliwość przeniósł się do nowego mieszkania, składającego się z czterech skromnych, niezbyt wysokich komnat, znajdujących się pomiędzy piętrem drugiem a trzeciem. Dotychczas mieszkał w nich ks. Angeli, sekretarz prywatny Leona XIII. W czasie choroby Leona XIII, zajmowali te komnaty: doktor Lapponi i zaufany kamerdyner zmarłego Papieża, Centra. Meble, które będą umieszczone w mieszkaniu Piusa X, odznaczają się wielką prostotą. Mieszkanie łączą małe schody ze wspaniałemi salami przyjęć urzędowych. Kardynał sekretarz stanu zamieszka na pierwszem piętrze. Wogóle Jego Świętobliwość we wszystkiem przestrzega jak największej skromności. Wszelki zbytek, wszelką wspaniałość stara się od Swojej Osoby usunąć.

Szaty i godła papieskie. Jego Świętobliwość w życiu prywatnem nosi białą, jedwabną sutannę, lub habit biały wełniany, jeśli był zakonnikiem; nosi też czapeczkę białą, trzewiki aksamitne, albo z materyi wełnianej, z krzyżem złotym, na wierzchu wydzierzganym. Dostępujący szczęścia zbliżenia się do Jego Świętobliwości, całuje mu stopy: jestto hołd, oddawany Jezusowi Chrystusowi, w osobie Jego Namiestnika. Aby tem wyraźniej symboliczne znaczenie pocałunku uwydatnić, całuje się krzyż, wyhaftowany złotem na obuwiu. Papież pragnie tym sposobem skierować do czcigodnego znaku odkupienia rodu ludzkiego i do samego Jezusa Chrystusa hołd, który odbiera, a zarazem daje poznać, że od krzyża władzę posiada.

Kapelusz w życiu prywatnem nosi Papież z pilśni; ma on kształt podłużny, powleczony jest czerwoną materyą jedwabną, oszyty złotym galonem, a opasany sznurem ze złotemi żołędziami.

Ubiór chórowy Papieża tworzą: czapeczka biała, pończochy białe, trzewiki czerwone, sutanna biała, pas ze złotemi żołędziami, rokieta koronkowa, mucet czerwony, jedwabny lub aksamitny, stosownie do pory roku, oszyty gronostajami, i stuła.

Kiedy Papież znajduje się na Nieszporach, Jutrzni, Mszy Świętej i innych nabożeństwach, a także kiedy sam celebruje, w obecności kardynałów patryarchów, arcybiskupów, biskupów, prałatów i dygnitarzy swego dworu, wówczas nosi: humerał, faldę, albę, pas, stułę i kapę długą, z ogonem, z klamrą kosztowną, to jest, z szeroką blachą, srebrną lub złotą, spinającą kapę na piersiach, na której wyrzeźbione są rozmaite godła; nazywa się ta klamra także pektorałem.

Celebrując uroczyście Mszę Ś-tą, przywdziewa Papież szaty, jakie noszą inni biskupi, z dodatkiem niektórych, Jemu tylko przysługujących. Tedy przywdziewa faldę, humerał, albę, pas. Manipularz przywiązują Mu do ręki dopiero przy ołtarzu, po *Confiteor*, a czyni to jeden z niższych stopniem duchownych, gdyż Kościół chce dać Papieżowi, również jak innym biskupom, którzy także manipularz przy ołtarzu otrzymują, naukę pokory, nadto przypomnieć Mu, iż przez zasługę dobrych uczynków, których manipularz jest niejako symbolem, dostępuje się odkupienia grzechów.

Stułę papież wkłada, jak biskupi, którzy nie wiążą jej na krzyż, bo noszą krzyż na piersiach. Lecz Papież bierze krzyż napierśny tylko wtedy, kiedy odprawia Mszę uroczyście. Jego Świętobliwość wkłada także: dalmatykę, tunikę i ornat; wreszcie przywdziewa fanon, szatę Jemu tylko przysługującą, nadto faldę, która przypomina starożytny efod, o czterech barwach, wyobrażających cztery żywioły, który Mojżesz przepisał dla arcykapłanów żydowskich. Falda zatem, to długa, szeroka suknia z białego jedwabiu, z długim, bardzo szerokim ogonem, który niesie wysoki dygnitarz dworu papieskiego. Fanon zaś składa się z dwóch mucetów, włożonych jeden na drugi. Spodni dłuższy jest od zwierzchniego, a obydwa zszyte są razem przy szyi. Przygotowuje się z materyi jedwabnej i złotej, w długie paski prostopadłe, dwóch kolorów, białego i złotego, połączonych innym paskiem — amarantowym. Na części fanonu piersi okrywającej, wydzierzgany jest krzyż promienisty. Krzyż ten całuje kardynał dyakon, podając fanon Papieżowi.

Na fanonie nosi Papież paliusz.

Według niektórych liturgistów (badaczy obrzędów kościelnych) fanon naśladuje zasłony, jakie ongi okrywały głowy biskupów greckich, gdy przywdziwali szaty swoje; inni utrzymują, że fanon kiedyś służył Papieżom za kaptur.

Stosownie do okoliczności, Papież używa trzech infuł, czyli mitr. Pierwsza zowie się „chwalebną“, jest ozdobiona drogiemi kamieniami i złotą obręczą, stanowiącą niejako podstawę mitry. Druga, również bogato zdobna, tem się jednak różni od pierwszej, że obręczy złotej nie posiada. Trzecia jest barwy białej, przygotowuje się z lamy srebrnej. Mitry „chwalebnej“ używa Papież w święta uroczyste (*in diebus festivis*); mitry bez obręczy złotej — gdy zasiada na konsystorzu i ogłasza dekret (*cum sedet in consistorio et judicat*); mitra biała jest oznaką żałoby i pokuty.

Mylą się ci, którzy biorą za jedno infułę z tyarą. Różnicę tych przedmiotów jasno wykazał Papież Inocenty III, w kazaniu na uroczystość Ś-go Sylwestra, mówiąc: „Papież rzymski używa tyary, jako znaku swej władzy doczesnej, a mitry, czyli infuły, jako znaku najwyższej

władzy duchownej, którą piastuje". Zdaje się wszelako, że tyara, czyli właściwie korona, *regium*, była w początkach niczem innem, jak mitrą, ozdobioną obręczą, o której wspominaliśmy wyżej, a podobną do korony. Papież Bonifacy VIII dodał do tej pierwszej koronę drugą, a Benedykt XII trzecią. Te trzy korony tworzą właśnie tyarę (*triregium*), są godłem władzy papieskiej, cesarskiej i królewskiej, które jednoczy w osobie swojej Następca Ś-go Piotra. Przypominają też one wiernym władzę, wykonywaną przez Jezusa Chrystusa w Kościołach: wojującym — na ziemi, cierpiącym — w czyśćcu, i nawet w Kościele tryumfującym, to jest w niebie, a to przez przywilej przyznawania czci publicznej mężom Bożym, którzy zasłużyli na zaliczenie w poczet Świętych Pańskich.

Co do pierścieni — Papież nosi zawsze pierścień, jak inni biskupi, a w czasie wielkich uroczystości bierze inny, kosztowniejszy. Po wyborze, otrzymuje pierścień tylko Papieżom przysługujący, zwany „pierścieniem rybitwa", ponieważ znajduje się na nim wyobrażenie Ś-go Piotra w łodzi, zarzucającego sieci w morze. Wszelkie łaski papieskie pieczętowane są tym pierścieniem. Stąd pochodzi formuła dokumentów papieskich: „Dan w Rzymie, pod pieczęcią Rybitwa".

Ks. Antoni Nowowiejski, oficyał płocki, w znakomitem swojem, olbrzymiem dziele o obrzędach Kościoła katolickiego, tak mówi o pierścieniach papieskich: „Najpierwszym biskupem jest Papież, dlatego na równi z innymi biskupami używa pierścieni: zwykłego, w którym oprawa złota ozdobiona jest kameą z wizerunkiem Bogarodzicy i pontyfikalnego, w czasie nabożeństw uroczystych. Prócz tego używa jeszcze „pierścienia rybaka" (*annulus piscatoris*), który służy do wyciskania w wosku czerwonym pieczęci papieskiej na brewiach apostolskich. Jestto pierścień złoty, z wyobrażenlem Ś-go Piotra, stojącego w łodzi i zarzucającego sieci w wodę, oraz z imieniem panującego Papieża. Używają go Papieże dla utrzymania w pamięci, że rybakiem był ten, któremu Jezus powierzył rządy Kościoła i że oni są następcami tego rybaka. Pierścienia takiego miał używać Piotr Święty, co jest prawdopodobnem, bo wiemy, że starożytni mieli zwyczaj pierścieniem listy swoje znaczyć. Ale dopiero od XIII wieku pierścień rybaka jest wspomniany w dziejach Papiestwa. Klemens IV użył go w r. 1265 jako pieczęci. Z początku papieże używali go do listów sekretnych; od czasu jednak Kaliksta III, brewia były tem pierścieniem pieczętowane. Po wyborze Papieża, kardynał-kamerlengo wkłada pierścień rybaka na palec wybranemu, poczem zaraz go zdejmuje i wkłada prefektowi ceremonij apostolskich, żeby imię nowego Papieża na nim wyryto. Pierścienia rybaka strzeże pierwszy szambelan papieski. Po śmierci Papieża, mistrz obrzędów, wobec zgromadzonych kardynałów kruszy ten pierścień na

kowadle, młotem, który jedynie do tego użytku służy, a złotem skruszonem dzielą się dwaj pierwsi mistrzowie obrzędów.“

Jeśli Papież ma na sobie kapę, ornat albo stułę, zawsze go poprzedza krzyż. Ten krzyż procesyonalny, zwany papieskim, poprzedza Papieża zawsze, jest jedną z oznak najwyższej Jego godności i władzy. Patryarchów i arcybiskupów krzyż poprzedza tylko w ich dyecezyach. Krzyż jest zwrócony ku Papieżowi wizerunkiem Zbawiciela, dla przypominania Mu nieustannie, iż pełni obowiązki pośrednika pomiędzy Bogiem a ludźmi; że zawsze chodzić powinien przed obliczem Tego Pasterza wiekuistego, będącego Pośrednikiem Najwyższym, którego pomocy zawsze ma wzywać. Krzyż papieski ma zwykłą formę — niepodobny on wcale do używanego na Wschodzie z podwójnemi ramionami. Mylnie zatem przedstawiają (a dzieje się to często) Papieżów lub ich legatów (posłów), poprzedzanych krzyżem z dwiema przecznicami.

Modlitwa—to siła. Z wiarogodnego źródła otrzymujemy wiadomość o tak cudownem ocaleniu, że musimy się nią podzilić z naszymi czytelnikami.

Młody człowiek, Polak, syn rodziców średniozamożnych, odbywał studya naukowe w Saksonii w „Technikum Mittweida.“ Do szkoły tej uczęszczają studenci z różnych części świata; tworzą oni związki studenckie, między którymi znajdują się i 2 polskie: „Vistula“ i jeszcze jeden. Ów młody człowiek należał do związku „Vistula.“ Obiadowali ci studenci, należący do jednego związku, razem i zauważyli, że nasz młody człowiek przed każdym obiadem żegna się krzyżem świętym. Wystarczyło to do pobudzenia ich sarkastycznych uwag, drwin, aż wyczerpali cierpliwość młodego człowieka, który się podniósł od stołu, rzucił talerz i zawołał: „z takimi łotrami, co gotowi po raz drugi Pana Jezusa ukrzyżować, obiadować nadal nie będę“, zapłacił za obiady i wyszedł. Następnego dnia zjawili się w mieszkaniu naszego wiernego katolika koledzy, z którymi miał bardzo burzliwą sprzeczkę, jak o tem opowiadała gospodyni domu w sąsiedztwie mieszkająca. Na skutek tych bolesnych przejść, które wstrząsnęły organizmem młodego człowieka, dostał on pomieszania zmysłów. Stan jego był tak groźny, że wezwano telegraficznie z Warszawy rodziców młodzieńca. Zrozpaczeni rodzice zabrali syna i odwieźli go do zakładu dla obłąkanych. W drodze 7-u ludzi trzymało nieszczęśliwego chorego, pomimo iż był ubrany w kaftan. Tym samym pociągiem jechał kapłan, staruszek, który, widząc rozpacz rodziców nieszczęśliwego, w te słowa rzekł do nich: „Moje dzieci, jest to rzeczywiście wielkie, bardzo wielkie nieszczęście, jakie

was spotkało, lecz jest to tylko cząstka tych cierpień, jakie Pan Jezus cierpiał, więc też całą waszą boleść ofiarujcie Panu Jezusowi "

Zrozpaczeni rodzice posłuchali rady kapłana i w Przegini, dyecezyi kieleckiej, ks. proboszcz wniósł ofiarę do Pana Jezusa o uzdrowienie młodzieńca, jakoteż i modlitwy o powrót do zdrowia ukochanego syna zanieśli rodzice w Częstochowie do stóp Matki Najświętszej Pana Jezusa.

W krótkim czasie po odprawieniu tych świętych ofiar i modłów otrzymali rodzice wiadomość z zakładu dla obłąkanych, że zdrowie młodego człowieka zaczęło się poprawiać, a dziś jest on już zupełnie zdrów.

Tak, to cud. Widzimy z tego wiarogodnego faktu, jak i z milionów podobnie cudownych wypadków, że jedyną i niezawodną pomocą we wszystkich naszych cierpieniach fizycznych i moralnych jest modlitwa do Boga, którego miłosierdzie nie ma granic.

Jubileusz Czcigodnej przełożonej Siostry Miłosierdzia Anieli Kędzierskiej w szpitalu Ś-ej Trójcy w Kaliszu. W dniu 29 września r. b. obchodzono uroczyście jubileusz 25-letniej pracy przełożonej Sióstr Miłosierdzia w szpitalu Ś-ej Trójcy — Anieli Kędzierskiej.

Wielebna Siostra urodziła się w 1839 r. W wiośnie życia swego poświęciła się na służbę Bogu i cierpiącej ludzkości. W 1863 r. została przyjętą do zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia w Warszawie i w tymże roku przywdziała szatę obłóczyn.

W 1878 r. po powrocie z wojny tureckiej, w której jako przełożona była czynną w pociągach ambulansowych, osiadła w Kaliszu w szpitalu Ś-ej Trójcy i odtąd wszystkie dni życia Wielebnej Siostry w Kaliszu były jednym nieprzerwanym szeregiem pożytecznej działalności, miłosierdzia, cichych poświęceń i mrówczej pracy.

W dniu jubileuszu o godzinie $6^1/_2$ z rana odprawiona była przez ks. kanonika J. Szafnickiego Msza ś-ta na intencyę Czcigodnej Jubilatki w obecności doktorów i wielu osób, po której ukończeniu ks. kanonik wygłosił odpowiednią mowę.

O godzinie 9 z rana, ks. Włodzimierz Jasiński odprawił w kaplicy szpitalnej solenną wotywę, a chór Ś-go Józefa w Kaliszu wykonał bezinteresownie prześliczne śpiewy religijne. Po ukończeniu wotywy ks. Włodzimierz Jasiński odnośnie do uroczystej chwili przemówił, poczem w asystencyi doktorów i licznie zebranych życzliwych przeprowadzono Jubilatkę do sali, a po stosownej do okoliczności wygłoszonej mowie naczelnego lekarza p. Adama Drozdowskiego, wręczono Wielebnej Siostrze książkę „O naśladowaniu Chrystusa" z odpowiednią dedykacyą. Z wielu stron Czcigodna Jubilatka otrzymała telegramy z życzeniami uznania.

W ogóle dzień ten był skromnym hołdem, złożonym cichym cnotom i poświęceniu.

Srebrne gody kapłańskie. Żejmy (dyecezya żmudzka, powiat kowieński). Dnia 6 (19) lipca r. b. było rzadkie w kronikach Żejmeńskiego kościoła święto, gdyż tegoż dnia parafianie w znacznej liczbie zgromadzeni, oprócz rocznicy poświęcenia i festu Opatrzności Boskiej obchodzili uroczystość 25-letniego jubileuszu pracy w powołaniu kapłańskiem proboszcza tutejszej parafii i dziekana kowieńskiego *ks. Mateusza Mieżinia*. Cała okolica pośpieszyła powitać więcej, niż krewnego, bo ojca duchownego, przewodnika, pasterza w progach domu jego, a w kościele pomodlić się nd intentencyę Szanownego Jubilata, zanosząc modły do Boga o łaski dla niego. I jest za co dziękować Bogu, bo oto Czcigodny Jubilat przez lat 25 swojego kapłaństwa, zasłużył sobie na miłość w parafii — szacunek i poważanie wśród duchowieństwa całego dekanatu. Wszystkie stany i warstwy społeczeństwa: chata i dwór połączyły się w uczczeniu Jubilata.

Czcigodny Jubilat urodził się w hrynkiszskiej parafii 1851 r. z zamożnych rodziców włościan. Po ukończeniu nauk w Szawelskiem klasycznem gimnazyum i w duchownem seminaryum żmudzkiem w Kownie, w 1878 r. zostal wyświęcony na kapłana przez biskupa Bereśniewicza i zaraz rozpoczął pracę apostolską, jako wikaryusz w Kurszanach; następnie pracował w Rossiejniach, jako kapelan szkół miejscowych, — dalej, jako wikaryusz przy Jurborgskim kościele i czasowo spełniał obowiązek filialisty w Girdziach. Od roku 1898 zarządza parafią Żejmy i jest dziekanem kowieńskim. Mąż to prawy, kapłan gorliwy.

W dniu obchodu 25-lecia sumę celebrował sam Jubilat w asystencyi, jako dyakona ks. P. Lubszisa, subdyakona ks. Al. Razmo. W czasie Mszy świętej kazanie polskie wygłosił wymowny kaznodzieja ks. I. Szurno, proboszcz z Szat. Mówca z namaszczeniem, w słowach serdecznych, mówił o znaczeniu kapłaństwa w Kościele katolickim, poczem określił charakter pięknej działalności ks. Dziekana na różnych polach: jako proboszcza, dziekana i prezesa nowobudującego się kościoła. Po sumie przemawiał po litewsku do ludu zebranego współpracownik i pomocnik Jubilata ks. E. Ledziński.

Radowało się serce Jubilata, gdy zobaczył w tym dniu blizko siebie nietylko kondekanalnych kapłanów, ale nawet z dalszych okolic i z innych dekanatów, oraz tłumy wiernych, ze wszystkich sfer, przybyłych z sąsiednich parafij. Po nabożeństwie, gdy dostojny Jubilat powrócił do plebanii, najpierw 10-letnia dziewczynka wiejska — Borejszówna, córka zamożnego włościanina, biało ubrana, wręczyła dziekano-

wi wspaniały bukiet i powinszowała. Następnie przedstawiciele okolic i wiosek, na czele z Szymonem Borejszo, przy śpiewie miejscowego chóru — po litewsku, po łacinie i po polsku, winszowali Jubilatowi, składając Mu serdeczne życzenia i w dowód czci i przywiązania od wdzięcznych parafian złożyli w darze śliczny ornat biały złotem haftowany. Wieczorem w skromnej starodawnej plebanii przedstawiciele duchowieństwa i inteligencyi złożyli Jubilatowi upominki i serdeczne życzenia. Ksiądz I. Sokołowski, proboszcz Wędziagolski, w słowach rzewnych zwrócił się do Jubilata, wyrażając serdeczne uczucia zebranych w kościele i tutaj; w dowód szacunku i uzania, w imieniu kondekanalnego duchowieństwa doręczył Mu drogocenny upominek — bogato pozłocony, prześlicznie rzeźbiony, srebrny kielich mszalny, przyozdobiony misternie, rzeźbionemi 14 stacyami Męki Pańskiej ze stosownym napisem. Następnie w imieniu obywateli żejmeńskiej parafii przemawiał p. Maryan Kossakowski, podnosząc zasługi Jubilata, jako proboszcza, jego pobożność, takt i rozsądek w postępowaniu, szlachetny charakter, zaznaczył przytem, że nowobudujący się kościół, to owoc jego wytrwałych i gorących zabiegów. Mówca, składając wspaniałe ozdobne album z fotografiami obywateli, zakończył życzenie „ad multos annos“, a wszyscy obecni wznieśli okrzyk: „niech żyje!“

Z Jurborga, z nad pruskiej granicy, tameczny proboszcz, przezacny ks. K. Marcinkiewicz, u którego Szanowny Jubilat 12 lat spełniał obowiązek wikaryusza, przybył umyślnie z niektórymi parafianami, aby złożyć życzenie i ofiarował w upominku brewiarz. Wiele także przyszło powinszowań w listach i telegramach.

Jubilat serdecznie dziękował duchowieństwu i wszystkim obecnym za wyrażone dowody życzliwości, wyznając, że czuje się niegodny tego wszystkiego, że pracę i działalność uważa za spełnienie obowiązku nań włożonego przez Boga. Jednakże słowa uznania będą mu zachętą do dalszej pracy na niwie kościelnej i społecznej. Dziękując za zachętę, wzywa obecnych do dalszej wspólnej działalności.

Tak został uczczony Czcigodny kapłan w cichym zakątku życia parafialnego przez braci kapłanów, przyjaciół i przez swych parafian wszelkiego stanu za swą poczciwą pracę w winnicy Chrystusowej.

Wspomnienie tej uroczystości daje wymowne świadectwo, że u nas jeszcze nie wygasła łączność braterska wiernych z duchowieństwem.

Ks. E. L.

Odezwa do pp. wydawców, księgarzy i ludzi prywatnych dobrej woli. Otrzymaliśmy w tym czasie kilka odezw wraz z serdeczną prośbą od koła Polaków osiedlonych w Ameryce, abyśmy przy pomocy naszego

pisma wyjednali u ludzi dobrej woli bezinteresowne przysyłanie polskich książek treści religijnej, jakoteż światowej do ich biblioteki, skromnemi siłami przez nich założonej. Nie możemy oprzeć się naturalnemu żądaniu naszych daleko rzuconych współziomków i polecamy gorąco ich prośbę wszystkim ludziom dobrej woli, rozumiejącym tęsknotę za językiem, ruchem społecznym i literaturą kraju rodzinnego. Wszyscy proszący rozrzuceni po różnych częściach Ameryki są to biedacy, którym nie stać grosza na zakup pokarmu dla ducha, bo zaledwie im wystarcza na zaspokojenie potrzeb ciała.

Mamy w Bogu nadzieję, że prośba biedaków znajdzie oddźwięk w sercach ludzi dobrej woli i nie pozostanie bez dobrego rezultatu.

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ z wdzięcznością książki przyjmie i od siebie wysyłać będzie do Ameryki.



ŚWIĘTA W PIEŚNI.

Wszystkich Świętych. Dzień Zaduszny.

Nie bez przyczyny Kościół Boży
Dwa święta łączy z sobą:
Gdy pierwsze do snu świat ułoży,
Noc splata dzień z żałobą.
W dzień Wszystkich Świętych już nieszpory
Żałosną dźwięczą nutą,
Dzwon huczy żalem poprzez bory,
Mknąc niwą, w mgły osnutą...
„*Myśl, żeś śmiertelny!*“, jak miliony,
Co w zimnej śpią mogile...
Ówdzie nad kośćmi ich — zagony,
Tam kwiat się wdzięczy mile; —
Gdzieindziej chwasty lub pokrzywa,
Tam — huczny bruk stolicy...
O jednych jeszcze pamięć żywa,
Ci — upiór strasznolicy...
Lecz, choć się w proch skruszyły kości,
Niepamięć imię starła,
Ta dusza, która w czyśćcu gości,
Ta dusza — nieumarła —
Błaga o modły żywych rzesze,
Jak o największe łaski!...
A więc się módlmy — ku pociesze,
By wieczne dać im blaski...

A Wszyscy Święci, co na niebie
U tronu Pana stoją,
Czyż nie cierpieli na tej glebie?
Czyż nie są dla nas zbroją?...
Śród dostojnego tego grona,
Co Panu jest tak miły,
Żywy i zmarły ma Patrona,
W nim puklerz, pełen siły...
Więc Ich błagajmy łzy szczeremi
O zmarłych przygarnienie,
O spokój duszom... a na ziemi,
O jasne zórz promienie.
Ty wiesz, dlaczego — w wieczne lata —
Dzień Wszystkich Pańskich grona
Z dniem się Zadusznym cudnie splata,
O, duszo umęczona!...

Karol Hoffman.



Książki nadesłane do Redakcyi.

Życie Eucharystyczne Najświętszej Maryi Matki Boskiej Eucharystyi, napisał **ks. Kazimierz Siedlecki**. Obszerna, poważna, wysoce ascetyczna praca Ojca Kazimierza zawiera w sobie gorące uwielbienie Najświętszej Maryi Panny, jako Matki Boskiej Eucharystyi. Jakie myśli, jakie pobudki kierowały Czcigodnym Autorem do podjęcia tej pracy objaśnia on sam we wstępie do powyższego dzieła, gdy mówi: „Każdy niemal wiek składał Maryi nowe uwielbienia i tytuły czci, a chwała Jej i uwielbienia, z tej chwały wynikające, rosły, rzec można, w tym samym stosunku, w jakim mnożyły się walki Kościoła z herezyą i jego nad nie zwycięztwa.

Obecny wiek, niewiarą i zaniedbaniem uczęszczania do Świętych Tajemnic, potwornemi bluźnierstwami i profanacyą Najświętszego Sakramentu, najwyższą zniewagę zgotował Bogu, a jednocześnie oddał największy hołd i uwielbienie Matce Jezusowej—jako Adoratorce—Matce Najświętszej Eucharystyi.

Gdy wielebny O. Eymard, założyciel zgromadzenia kapłanów Najświętszego Sakramentu, wznosił fundamenta czci Maryi, jak pierwszej Adoratorce Jezusa Utajonego w Hostyi Świętej, wrzawa wywołana tem nowem nabożeństwem, zda się zagłuszała hymny uwielbienia; od tego czasu minęło już z górą 40 lat, a nowy tytuł wskazał nowy punkt wpatrywania się w życie Maryi, dając wiernym nowe światło i źródło życia świętego, najżarliwsze pobudki do naśladowania Jej czci, uwielbień i miłości dla Najświętszej Eucharystyi.

Miłość sług Maryi nie ustała. Dzisiaj świat chrześcijański daje Maryi jeszcze inne nazwy wyjawiające chęć połączenia Jej czci z czcią Przenajświętszego Sakramentu.

W dzień ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia 8 grudnia 1854 r., zawiązało się religijne stowarzyszenie pod nazwą „Zgromadzenia Maryi Wynagradzającej“. Ta kongregacya oparta na regule Ś-go Ignacego przedziwnie się rozszerza, wydając dobroczynne owoce świętości po wszystkich krajach zachodniej Europy i Ameryki. Celem i powołaniem tego zakonu jest naśladowanie cnót eucharystycznych Maryi, słowem zastąpienia na ziemi Tej Boskiej Matki przy Jezusie zapomnianym, znieważonym i nieznanym w Najświętszej Eucharystyi. Im głę-



Ksiądz Kazimierz Siedlecki.

biej wtajemniczałem się w ważność tego świętego zadania, tem bezsilniejszym się czułem i rozumiałem jasno, że jedynie Święci mogą pisać o Przenajświętszej Matce Boskiej Eucharystyi.

Gdy z jednej strony umysł mój przerażony spotykał coraz większe trudności, serce przejęte szczytnością przedmiotu i pewnym pożytkiem bliźnich coraz silniejszymi węzłami czuło się przynęconem, porwanem do Tego niedościgłego Ideału i przepełnione uczuciem, domagało się

wydobycia tonów z duszy wspaniałym akordem, by mówić do braci o Maryi Matce Boskiej Eucharystyi. Rozpoczynam pracę moją modlitwą świętego Augustyna: „Przez Nią błagam Cię, Panie, bo przez Nią udzielasz nam wszystkich dobrodziejstw; błagam, udziel mi łaski, abym bez obrażenia takiej świętości, mógł o Niej godnie mówić; a nie mogąc mówić zupełnie jakby przynależało, bo to jest niepodobieństwem człowiekowi, niech przynajmniej podołam w cząstce drobnej wyłożyć ten przedmiot. Niech sam przedmiot będzie rozgłosem, niech Jej nieprzebrane cnót bogactwa rozlegają się, zabrzmią w piersiach wszędzie, Jej świętobliwość zadziwiająca, niech wszystkich zachwytem pociąga a Jej godność nieoszacowana, niech wiernie przedstawioną zostanie w tem dziełku.“

Pomnikową tę pracę księdza Kazimierza Siedleckiego zdobią bardzo pięknie wykonane illustracye.

Ks. J. A.

= Ukazała się w druku mała książeczka pod tytułem „Krótka Nowenna dla dzieci szkolnych do Świętego Stanisława Kostki, patrona uczącej się młodzieży, ułożona przez ks. Mieczysława M. Rogójskiego.

Z przyjemnością przeczytaliśmy tę małą modlitewkę serdecznie i z prostotą napisaną. Polecamy tę książeczkę młodiutkim latoroślom, które niechaj od wczesnych lat zaprawiają się żyć w tych cnotach, o jakie ta krótka nowenna gorąco prosi.



Od Redakcyi.

W-nej P. Zof. Mołot. w B. Cerk. Żądanych wizerunków na razie nie mamy. Jest tylko „Przewodnik po Jasnej-Górze“ i ten na żądanie możemy przysłać.

Szanownemu ks. Now. w Szczek. Za przesłane nam życzenia serdeczne „Bóg zapłać!“

W-nemu P. Węgl. w Warsz. Każdy list pański, tchnący głęboką wiarą sprawia nam prawdziwą przyjemność. Za rozpowszechnienie „Dzwonka Częstochowskiego“ barzdo serdecznie dziękujemy.

W-nemu P. J. Kuźnik. w Łasku. Głęboko wzruszeni uznaniem dla „Dzwonka Częstochowskiego“ i wdzięczni za rozpowszechnienie naszego pisma przesyłamy serdeczne „Bóg zapłać!“

Szanownemu ks. prob. A. Bińcz. Z całego serca dziękujemy za życzenia i za słowa błogosławieństwa dla naszej pracy.

Szanownemu ks. W. Wisz. w Sierz. Przekaz otrzymaliśmy. Za życzenia bardzo dziękujemy.

Szanownemu ks. A. Wilcz. w Krzesz. Prenumerata opłacona do 1 lipca 1904 r. Za życzenia serdecznie dziękujemy.

W-nemu P. A. Jechun. w Dźw. Prenumerata opłacona oo 1904 r. Na zapytanie Sz. Pana co do arcybractwa, odpowiemy listownie.

W-nemu P. L. Słod. w Schamokin P. Przesyłkę pieniężną, wysłaną przez Sz. Pana w maju r. b., otrzymaliśmy.

Szanownemu ks. J. Koc. w Pon. Przekaz otrzymaliśmy. Prenumerata opłacona za czas do 1 lipca r. b.

Szanownemu ks. Łazar. w K. Prenumerata opłacona do 1 lipca 1904 r.

W-nemu P. S. Wądrz. w South. Chicago. „Dzwonek Częstochowski“ od początku roku wysłany. Pieniędzy, o których Pan wspomina w liście, jeszcze nie otrzymaliśmy.

W-nemu P. H. Jaśń. w Stawiszynie. Prenumerata opłacona za czas do 1 października r. b.

W-nemu P. J. Tręb. w Warsz. 2 ruble, wysłane przez Sz. Pana przekazem w lipcu, otrzymaliśmy. Na rok 1904 pozostało 50 kop.

W-nemu P. J. Sok. w Win. 4 rb. 35 kop. otrzymaliśmy—dziękujemy.

W. P. El. Głów. w R. Adres zmieniony. Na zapytanie odpowiadamy: niestety, dotychczas zaledwie kilka osób.

W-nemu P. J. Wycisł. w Rad. Za zmianę adresu liczymy 20 kop.

W-nemu P. Tar. R. w Bobr. Tomy VII i VIII wysłaliśmy Sz. Panu ponownie d. 7 października.

W-nemu P. St. Wojnił. w Taszkiencie. Prenumerata opłacona za pół roku — do 1 stycznia 1904. Za życzliwość dziękujemy.

W-nemu P. J. Bor. w Homlu. 4 rb. 50 kop. za prenumeratę i 4 obrazki otrzymaliśmy. Będzie się należało jeszcze za przesyłkę premium 50 kop.

Szanownemu ks. St. Dotk. w Kor. Bóg zapłać za słowo życzliwości! Prenumerata do 1 stycznia 1904 r. całkowicie opłacona.

Szanownemu ks. kan. I. Dęb. w Paryżu. Prenumerata za r. 1903 opłacona — na r. 1904 pozostało 4 rb. 25 kop.

Szanownemu ks. L. Ols w Bałt Prenumerata do 1 stycznia 1904 r. opłacona, — na dalszy ciąg pozostało 50 kop.

W-nemu P. St. Mick. w St. Was. Nie nasza to wina, że Sz. Pan otrzymał tom wrześniowy uszkodzony: od nas on wyszedł cały i czysty. Prosimy o dopilnowanie na miejscu, aby „Dzwonek Częstochowski“ doręczano w całości i regularnie w pierwszych dniach miesiąca. Tom wrześniowy możemy przysłać powtórnie.

W-nemu P. F. Potak. w Łodzi. Przekazem 2 rb. 50 kop. otrzymaliśmy. Tomy VII, VIII i IX wysłane. W dalszym ciągu będziemy wysyłali 2 egzemplarze pod adresem Sz. Pana.

W-nemu P. I. Wichl. w Wł. „Pamiętnik illustrowany ks. Kordeckiego“ jeszcze nie wyszedł z druku.

W-nemu P. W. Stach. w Bog. Przekaz otrzymaliśmy.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego“ upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi Królowej Nieba i ziemi poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski“.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę na „Dzwonek Częstochowski“ wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa, pod Jasną-Górą.

